



„JA WIEM” — „JA POWIEM”
Już pierwszego dnia w nowym
roku szkolnym można odnieść
poważny sukces. A przecież
początek bywa najtrudniejszy!

Fot. „Świat” — J. Kosidowski

SWIAT NASZA KRONIKA

ZOFIA BYSTRZYCKA w „Expressie”, a Jerzy Putrament w „Życiu Warszawy” podzielili się z czytelnikami swymi wrażeniami z pobytu w Juracie. Zwracają oni uwagę na brud, zaniedbanie, opuszczenie tej jednej z najpiękniejszych i najzdrowszych naszych miejscowości nadmorskich. Do rejestru problemów z dziedziny czystości, kultury i rozrywki, sporządzonego przez Bystrzycką i Putramenta, jak znam Juratę, dodałbym i takie problemy jak brak lekarza i punktu aptecznego, zagadnienie zaopatrzenia w podstawowe lekarstwa pobliskiej Jastarni i wreszcie odpowiedniego zaopatrzenia w ogóle całego Półwyspu Helskiego w odpowiednie towary.

Wydaje mi się, że jednak stałaby się władzom odpowiedzialnym za Juratę krzywda, gdybyśmy, sumując nasze czasowe wrażenia, do Juraty się ograniczyli. Trzeba zanotować, że przyjeżdżający z różnych stron kraju, znad morza i z gór, alarmują w podobny sposób. Alarmują w sprawie brudu, niedbalstwa, niedociągnięć, braku troski o ludzi i powierzone odpowiedzialnym czynnikom skarby. Obserwuję te sprawy dość często w Krynicy. To piękne uzdrowisko, znane w całej Europie, sprawia wrażenie niszczonego, podupadającego. Jest to wrażenie przykre, z którego przyczyn trudno zdać sobie nieraz sprawę.

Bo i klomby piękne, i fontanny biją, i opieka lekarska dobra i przyjemna — a jednak zaniedbanie. Nie polega ono na tym, że nie możemy jeszcze rzucić wielkich sum na rozbudowę Krynicy czy innych uzdrowisk. Nie o to chodzi. Chodzi o tak zwane drobniaki, które w sumie składają się na to właśnie ogólne przykre wrażenie. Jeśli w pięknej świetlicy jednego lub drugiego domu zdrojowego coraz ciemniej, bo żarówka gasną, ale nikt nowych nie wkłada, gdy klosze od lamp tłuką się, ale nikt nowych nie zakłada, gdy już pokolenia potykają się o wygięte linoleum w ubikacji, gdy schodki rozmaite swobodnie zielskiem porastają — z tego właśnie wrażenie opuszczenia i niedbalstwa.

Mam głębokie przekonanie, że obracające milionowymi funduszami uzdrowisko Krynica mogłoby swych kuracjuszy zaopatrzyć w nowe kubki z uszkami, że te kilkaset złotych mogłoby łatwo wygospodarować z oszczędności w swoim budżecie. W pięknej i słynnej Krynicy zadbać by także należało, gdy dobrze dba się o rozrywkę kulturalną, o sprawy gastronomiczne. Krynica musi mieć odpowiednią restaurację na miejsce obecnej brudnej i śmierdzącej nory, noszącej nazwę „Restauracji Krynickiej”. Należy również zrewidować sprawę restauracji na Górze Parkowej, która, jak i odpowiednie zakłady w Zakopanem, podlega Kolejowym Zakładom Gastronomicznym, z czego wynikają skutki, że bardzo przypomina bufet kolejowy w Koluszkach.

Jeśli będziemy dążyli do ustalania odpowiedzialności za istniejący stan rzeczy, obok „Orbisu”, słusznie wymienionego przez Putramenta, należy chyba wspomnieć i o Ministerstwie Z d r o w i a,

które ma, jak choćby z nazwy wynika, coś wspólnego ze sprawą u z d r o w i s k.

ALE znów krzywdzilibyśmy uzdrowiska, gdybyśmy same uzdrowiska obciążali grzechami, które należy zwalczać w zakresie ogólnonarodowym. To przykre, ale to musi być powiedziane. Wydaje mi się, że pewne sprawy widzimy w uzdrowiskach, bo mamy więcej niż kiedy indziej czasu na patrzenie, że specjalnie nas denerwują, bo przyjeżdżamy wypocząć, a tu ciągle coś nam w tym wypoczynku przeszkadza. Tymczasem nie trzeba wcale fatygować się do Juraty czy Krynicy, aby zobaczyć, że są u nas bardzo przykre i nieprzyjemne rzeczy.

Nazwałbym tę społeczną chorobę — pogardą dla spraw drobnych. Gdy jechać po Polsce, można zauważyć wszędzie niemal tę właśnie niesłuszną pogardę dla miotły, ścierki, młotki, wody i mydła, która to pogarda powoduje ów wygląd ogólnego zaniedbania. Jechałem niedawno przez Polskę samochodem. Wśród małych chat wznoszą się piękne nowe, czerwone gmachy szkół, ozdobione napisem „Witajcie!” Nic bardziej wzruszającego ponad piękną, nową szkołę...

No ale cóż, człowiek nie tylko wzrusza się, człowiek również musi jeść. Stanęliśmy w Radomiu. Jak Wam opisać dwie główne restauracje tego nienajpodlejszego miasta? Jeśli kiedyś w Polsce będzie się kręcić film o galeriach, na przykład „Nędznicy”, to reżyserowi polecam radomskie restauracje. Gdy chodzi o ponurość, o nastrój pogardy dla klienta, nawet jeśli chodzi o smak potraw, wszystko to stanowi mimowolną, ale jakże celną rekonstrukcję warunków bytu i strawy, którą spożywał Jean Valjean. Nie narzekaliśmy jednak bardzo: restauracje jednak były otwarte. To też coś znaczy. Na Wybrzeżu Gdańskim w pełni sezonu istnieje restauracja, która zamyka się w godzinach od 13 do 15 z powodu... przerwy obiadowej.

ZRESZTA nie trzeba dalekich wypraw, wielkich podróży pociągami, samochodem czy samolotem. Wystarczy przejść się po Warszawie. Spróbujmy tutaj zjeść smaczny, ale niedrogi obiad, spróbujmy nie szukając długo — znaleźć grzecznego kelnera. Czyśność w Juracie?... Zobaczcie, jak wygląda przed Centralnym Domem Towarowym w śródmieściu Warszawy, zobaczcie ścianę w barze mlecznym na Nowym Świecie, przypatrzcie się skandalicznym reklamom w naszych sklepach. Biedne dzieci pytają rodziców przed sklepem z podarunkami na tymże Nowym Świecie.

— Mamusiu! Tatusiu! To w tym sklepie sprzedają kurzy?

Sprawa jedzenia, sprawa czystości, sprawa estetyki, sprawa dbałości o to, cośmy zbudowali i co budujemy, sprawa obsługi klienta, sprawa grzeczności! Czy to są małe, drobne, nieważne sprawy? Nie, to są sprawy bardzo ważne. Są tylko tacy, co nimi pogardzają dla własnej wygody. Ja tam wierzę, że w stosunku człowieka do spraw małych odbija się jego stosunek do spraw wielkich.

JAN SZELAĞ

Z KRAJU I ZE SWIATA

Z KRAJU I ZE SWIATA

Z KRAJU I ZE SWIATA

W OBRONIE STOLICY



Dziesiątego września 1939 roku zginął w obronie Warszawy działacz KPP, długoletni więzień sanacji — Marian Buczek

DZIESIĘCIOLECIE



We wrześniu mija dziesięć lat od chwili, gdy nacierające wojska radzieckie i polskie wyzwoliły Warszawę-Pragę, spy-

PRZEDSTAWICIEL PRL PRZYBYWA DO WIETNAMU



Członkowie Międzynarodowej Komisji Rozjemczej przybyli z Indii do Wietnamu. Od lewej: R. M. MacDonnell (Kanada), S. Dutt (Indie) oraz P. Ogrodziński (Polska). Ludność Hanoi udekorowała ich girlandami z kwiatów,

DZIEŃ KOLEJARZA



W bm. obchodzić będziemy w Polsce po raz pierwszy „Dzień Kolejarza”. Kolejarze czczą go licznymi zobowiązaniami.

WIZYTA BRYTYJSKICH



Do Polski przybyła, na zaproszenie Komitetu Współpracy Kulturalnej z Zagranicą, grupa labourzystowskich parlamen-

WYZWOLENIA PRAGI



WAF
chając hitlerowców za Wisłę. Na zdjęciu: przemarsz wojska bezpośredniego po wyzwoleniu prawobrzeżnej Warszawy

Z MISTRZOSTW W BERNIE



CAF
Kriwonosow (ZSRR) zdobył w Bernie mistrzostwo w rzucie młotem (63 m 43 cm) ustanawiając nowy rekord świata.

PARLAMENTARZYSTÓW



CAF
tarzystów — członków Izby Lordów i Izby Gmin. Po zwiedzeniu Warszawy — goście udali się w podróż po kraju.

PO SAMOBÓJSTWIE PREZYDENTA VARGASA



„N. Y. Herald Tribune”
24 sierpnia popełnił samobójstwo długoletni prezydent Brazylii, dr Getulio Vargas. Następcą jego został dotychczasowy wiceprezydent, Cafe Filho, znany jako marionetka USA. U góry — portret Vargasa, po prawej — Brazylijczycy demonstrują żywiołowo przeciwko prasie proamerykańskiej.



Marsylianka

N A S A L I
O B R A D

FRANCIS CREMIEUX

Korespondencja własna „Świata”

Paryż, we wrześniu
FRANCUSKIE ZGROMADZENIE NARODOWE odrzuciło układ o „europejskiej wspólnotie obronnej” 319 głosami przeciwko 264.

Po powrocie Mendes-France’a z Brukseli stało się jasne bardziej niż kiedykolwiek, że wejście w życie układu o EWO pociągnęłoby za sobą izolację Francji, wydanie jej na łaskę lub niełaskę odwetowym militarystom niemieckim i ich satelitom. O atmosferze, jaka panowała w łonie „Komisariatu Ponadnarodowego” EWO, dawała już nieźle pojęcie buta, bezczelność i nieprzejednana postawa Adenauera w Brukseli.

Już w przeddzień debaty ratyfikacyjnej, która otwierała się w namiętnej atmosferze, zwycięstwo przeciwników EWO wydawało się pewne. A jednak wyczuwano się pewien niepokój: czy aby deputowanym — rzecznikom niemieckiej „Europy”, nie uda się wywrzeć presji na Mendes-France’a i skłonić go do odroczenia debaty.

Najpierw spróbowano doprowadzić do ustąpienia z rządu ministrów sprzyjających EWO. Bidault i Rene Mayer spodziewali się, że za pomocą tego manewru zmuszą do dymisji samego Mendes-France’a.

Gdy ta próba zawiodła, zaciekli „europejczycy” postanowili użyć środków, które stwarza regulamin Zgromadzenia Narodowego. Pewien deputowany, nazwiskiem Chupin, zgłosił „wniosek formalny” o odroczenie debaty do 21 września. Zwolennicy EWO proponowali, by tymczasem wznowić rokowania brukselskie, wiedząc doskonale, że w takim wypadku Stany Zjednoczone zechcą skłonić Adenauera do udzielenia pozornej przynajmniej satysfakcji premierowi Mendes-France, którego propozycje zostały za pierwszym razem całkowicie zignorowane. Lękali się oni — i słusznie, że debata przybierze niepomysłny dla nich obrót.

Natychmiastową odpowiedzią przeciwników EWO na ten manewr było zgłoszenie tzw. „wniosku wstępnego”. W myśl regulaminu zgromadzenia wniosek taki, kwestionujący celowość wszelkiej debaty nad daną sprawą — w tym

czy innym terminie — ma zawsze pierwszeństwo. Jego przyjęcie równa się odrzuceniu zgłoszonego projektu, bez wdawania się w dyskusję merytoryczną. Wówczas „europejczycy”, przewidując w głosowaniu nieuchronną porażkę, a wciąż jeszcze licząc na jakiś korzystny wynik różnych zakulisowych manewrów, oświadczyli, że swój „wniosek formalny” wycofują, chcą bowiem jednak swobodnej dyskusji. Przeciwnicy EWO ze swej strony zgodzili się na wycofanie „wniosku wstępnego”.

Zgromadzenie Narodowe wysłuchało

w pierwszym dniu siedmiu sprawozdawców komisji parlamentarnych, m. in. komisji spraw zagranicznych i komisji obrony narodowej. Wszyscy sprawozdawcy zalecali w konkluzji odrzucenie układu o „europejskiej wspólnotie obronnej”. „Europejczyków”, których przywódcami byli dawni premierzy Reynaud, Bidault i Pinay oraz prawicowy socjalista Guy Mollet — ogarnęła panika. Próbowali oni jeszcze zmusić rząd do wypowiedzenia się przeciw-

Dokończenie na str. 23

Fragment sali obrad Francuskiego Zgromadzenia Narodowego w czasie debaty, która zakończyła się odrzuceniem układu o Europejskiej Wspólnocie Obronnej. „Times”



LWY ASOKI

Chcą pokój

Korespondencja własna „Świata”

JEAN BOUDIN

New Delhi, w sierpniu

JAK TO DOBRZE, że droga z Paryża do Indochin prowadzi przez Indie. Tutaj, w New Delhi, w piekielnym upale tropikalnym, uważny przybysz wyczuwa od razu tętno wielkich wydarzeń, które zrodziły się wprawdzie gdzieś indziej, ale skutkami swymi dotarli wszędzie — nad Mekong w Indochinach, nad Ganges i Bramaputrę w Indiach, na Borneo, Celebes czy Nową Gwineę.

Azja przebudziła się raz na zawsze; gigant strząsa z siebie obce robactwo, które od wieków obsiadło go i wysysało zeń krew — oto wrażenie, któremu nie podobna się oprzeć już tutaj, w stolicy Indii. Zresztą sprzyja temu zagęszczenie wydarzeń.

W New Delhi skończyła się właśnie konferencja przedstawicieli państw uczestniczących w nadzorowaniu rozejmu w Indochinach — Indii, Kanady i Polski. Mała kolonia portugalska na żywym ciele Indii — Goa, domaga się coraz głośniejszego wyzwolenia i odejścia okupacyjnych wojsk portugalskich. Przewodniczący delegacji Indonezji na sesję ONZ, dr Abu Hanifah, przełatując przez New Delhi składa oświadczenie, w którym zapowiada, że będzie się domagał postawienia na porządku dziennym obrad ONZ sprawy zlikwidowania kolonialnego panowania Holendrów w zachodniej Nowej Gwinei (Papua). Wreszcie — same Indie obchodzą właśnie siódmą rocznicę przejęcia władzy z rąk okupantów brytyjskich.

Wszystko to znajduje wyraz na łamach tutejszej prasy, wszystko to dzieje się właśnie w chwili, gdy po dłuższym locie ląduję na lotnisku Palam w New Delhi.

Rzecz, która chyba najbardziej zaskakuje reportera politycznego z Zachodu, jest zdumiewający, nieoczekiwany spokój i cierpliwość przywódców hinduskich. Nie brak ludzi, którzy chcieliby widzieć przyczynę tego w klimacie „zbyt upalnym, aby robić cokolwiek z zapałem”, jak powiedział mi tutaj pewien korespondent prasy zachodniej.

Ale przecież obcy przybyszom, imperialistom, starczyło energii na to, aby właśnie tutaj, w tym klimacie, okrutnie eksploatować i uciskać naród hinduski. A Hindusom nie zabrakło energii, aby z gnębielcami walczyć.

Nie, spokój i cierpliwość Hindusów płynie z czegoś zupełnie innego. Wyczuwa się w nim niewzruszoną pewność i przekonanie o słuszności sprawy narodów kolonialnych, przeświadczenie, że w połowie wieku dwudziestego system kolonialny jest anachronizmem i musi zginąć.

W sposób chyba najjaskrawszy uwidoczniło się to w sprawie kolonii portugalskiej Goa, enklawy o średnicy kilkudziesięciu kilometrów na olbrzymim ciele Indii. Indie mogłyby, rzecz prosta, zalać to terytorium żywą masą ludzką w ciągu paru dni. Możliwości oporu ze strony portugalskiej są dokładnie takie, jakie miałby jakiś bandyta, który chciałby siłą zbrojną utrzymać w posiadaniu jeden dom w wielkim mieście.

Otóż znamienne jest, że aczkolwiek imperialiści (pożal się Boże) portugalscy obrali drogę owego bandyty, Indie nie obrwały jednak drogi przemocy. Enklawę Goa postarowiono wyzwolić ruchem „satyagrahi”, tzn. pokojowymi pochodami i manifestacjami. Właśnie w dniu mojego przylotu wojska portugalskie otworzyły ogień do takiej pokojowej demonstracji.

Pomimo to, pomimo ofiar, pomimo powszechnego oburzenia, rząd Indii nie odpowiedział na gwałt gwałtem, lecz w dalszym ciągu spokojnie popiera ruch „satyagrahi”, wyrażając publicznie przekonanie, że koloniści będą musieli odejść.

Podobnie ze sprawą indonezyjską. Gdy rozeszła się wieść, że australijski minister spraw zagranicznych, Casey, złożył oświadczenie, w myśl którego Australia nie poprze w ONZ skargi indonezyjskiej co do zachodniej Nowej Gwinei, opinia publiczna Indii wyraziła spokojnie, bez hałasu, przekonanie o nieuchronności kapitulacji holenderskiej.

Rozmawiałem z politykami i kupcami, z redaktorami i lekarzami, z kierowcami taksówek i prostymi robotnikami, którzy zakładają sieć elektryczną na przedmieściach Delhi — wszyscy byli do głębi wzburzeni portugalską prowokacją, ale ani jeden nie był zwolennikiem rozwiązania zagadnienia przemocą.

— Nie chcemy wojny, nawet najmniejszej — oto sens wypowiedzi.

Lwy z kolumny, którą król Asoka wzniósł przed stułeciami w Sarnath, dostąpiły dzisiaj tego zaszczytu, że są herbem narodowym Indii. Ale bynajmniej nie symbolizują one wojowniczości. Wręcz przeciwnie — słownie do podania mają one symbolizować tylko „najwyższą i najwspanialszą formę życia”. Legenda przypomina też, że Sziwa z małżonką siedzieli na lwie, a więc było to zwierzę dobrotliwe.

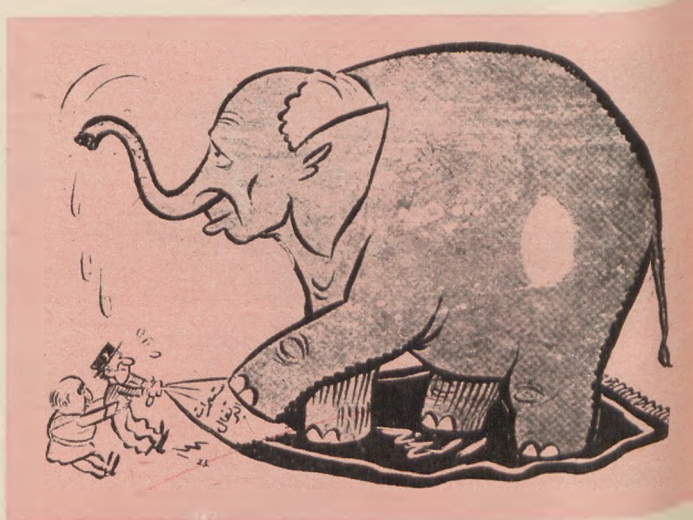
Ale nawet dobrotliwy lew Indii jest przecież jednak lwem. Około 400 milionów ludzi to potęga, z którą nie podobna się nie liczyć. A te setki milionów zaczęły żyć życiem niepodległym i zdecydowanie, stanowczo chcą należeć do obozu pokoju. Premier Jawaharlal Nehru z pewnością reprezentował cały olbrzymi naród hinduski, kiedy mówił dzisiaj do setek tysięcy ludzi, którzy spontanicznie przyszli pod czerwone mury starego „Czerwonego Fortu”, ongi siedziby kolonialnego okupanta:

„Bez względu na to, czy to się komu podoba czy nie, dawno już minęły czasy, kiedy jakkolwiek kraj mógł przemocą utrzymywać gdziekolwiek władzę kolonialną. Kto wciąż jeszcze myśli, że może panować nad innymi, ten nie rozumie dzisiejszego świata, ten nie wyczuwa mózgu i serca Azji... Indie stanowią jedną piątą część ludzkości i są dzisiaj wolne i niepodległe, służąc sprawie pokoju i zdobywając sobie uznanie i służbę. Chcemy, aby imię naszego kraju i naszego narodu było na zawsze związane w myślach całego świata ze sprawą przyjaźni i pokoju między narodami”.

(Tłum. K. L.)



BRAMA LAHORE „CZERWONEGO FORTU”



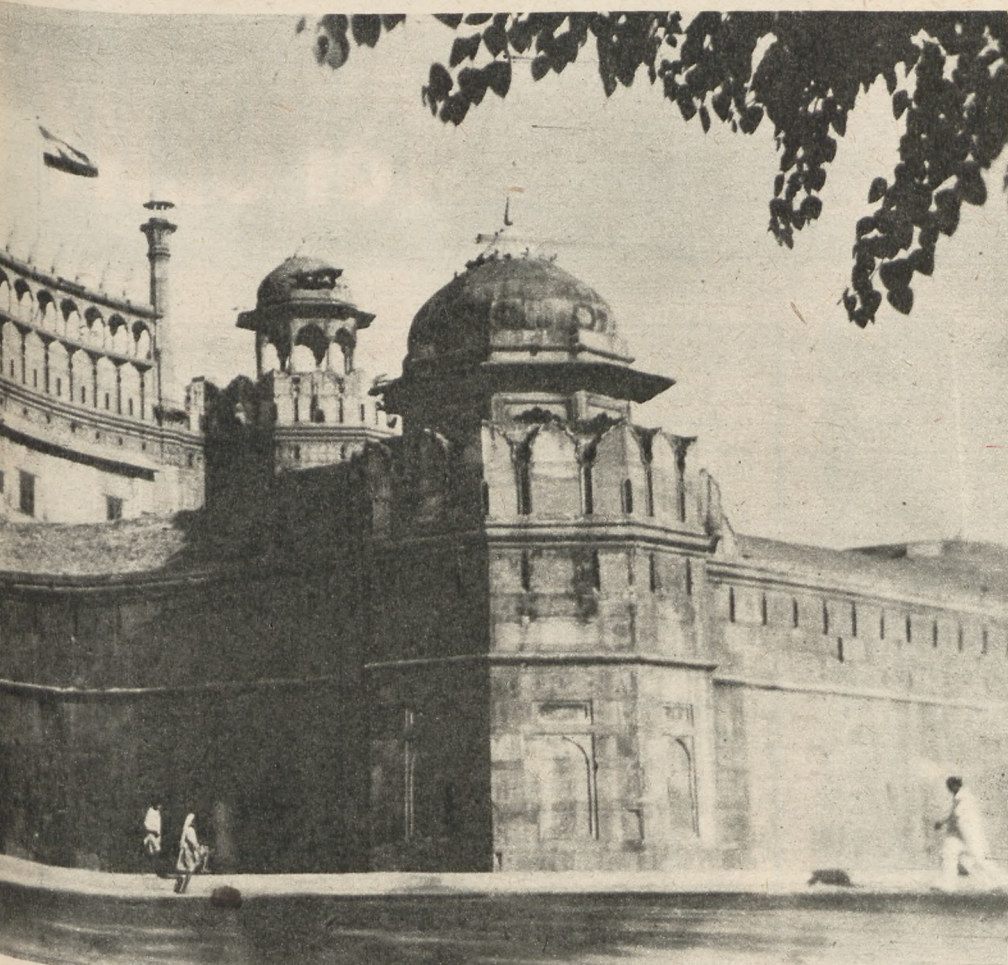
Hiszpania popiera Portugalie przeciwko Indiom w sprawie jej posiadłości kolonialnych. Powyżej reprodukowujemy karykaturę na ten temat z pisma „Rose el Jussef” z dn. 9 sierpnia 1954. (Biały prostokąt na rogu dywanu: posiadłości portugalskie).



Ludność stolicy Indii — New Delhi — demonstrowała wielokrotnie przed gmachem portugalskiego poselstwa protestując przeciwko zbrodnictwom prowokacjom w Goa.



Enklawę Goa postanowiono wyzwolić ruchem pokojowych manifestacji „satyagrahi”. Wojska portugalskie niejednokrotnie jednak otwierały ogień do pokojowych pochodów



HL, KTÓRY PRZEZ DŁUGIE LATA BYŁ SIEDZIBĄ BRYTYJCZYKÓW.

GŁOSY O POLSCE

Uffe Hansen

Uffe Hansen — pastor w duńskiej miejscowości Ubberup, jest działaczem ruchu pokoju. Od roku 1942 pełni funkcję przewodniczącego związku „Aldrig Mere Krig” („Nigdy więcej wojny”). W roku 1947 zostaje wybrany przewodniczącym Duńskiej Rady Pokoju.

Hansen przewodniczył na Międzynarodowej Konferencji dla Pokojowego Rozwiązania Kwestii Niemieckiej, która obradowała w czerwcu 1953 r. w Odensee. W tym samym miesiącu powołano go do Światowej Rady Pokoju.

Po upływie dziesięciu zaledwie lat od chwili wyzwolenia, Nowa Polska nie tylko stała się niezależnym państwem, zdolnym do wytwarzania dóbr koniecznych dla jej dobrobytu, a nawet do udzielania pomocy swym sąsiadom, lecz ponadto — w naszym wspólnym wysiłku zabezpieczenia pokoju dla Europy i wprowadzenia nowych stosunków między państwami na świecie — zajęła w samym sereu Europy kluczową pozycję.

Przed Polską, która w przeszłości padła ofiarą wojen, opartych na niesprawiedliwości, otwiera się obecnie perspektywa odegrania doniosłej roli w utrwaleniu sprawiedliwego pokoju.

Ku Polsce — odrodzonej i wyzwolonej — z okazji jej dziesięciolecia biegną ze wszystkich stron świata najgorętsze pozdrowienia i życzenia, do których pozwalam sobie dołączyć również i moje.

From all parts of the world Poland re-born will receive the most cordial regards at its Ten-Years-Jubilee and the best wishes for the years coming

and so from yours truly

Uffe Hansen, Denmark.

LIST CUDOWNIE UJAWNIONY

CUDA są sprawą ludzkiej wyobraźni. Nie zdziwiłem się zatem ani trochę, kiedy 1 września 1954 roku w Warszawie, siedząc przy biurku i rozmyślając nad białą kartką papieru jak ując w potoczyste zdania treski wielu ludzi w Bonn i w Waszyngtonie, spojrzałem przez okno, a tu nagle w szybie jak w telewizyjnym aparacie widzę zamiast warszawskiej ulicy wnętrza kanclerskiego pałacu w Bonn, z dużym przepychem i niesmakiem urządzonego gabinetu i figurę jakby z wosku, niemniej najwyraźniej żywą, siedzącą w fotelu przy wielkim kanclerskim stole i piszącą list... Ponieważ cuda, jak już rzekłem, są sprawą tylko ludzkiej wyobraźni, więc bez trudu stwierdziłem, że piszącym jest sam kanclerz Adenauer, a list jest skierowany do Wysoko Postawionej Osoby w Waszyngtonie, i bez trudu mogłem przepisywać zdanie po zdaniu (znajomość języka niemieckiego to cudowna rzecz!), by przekazać jak najszybciej opinii publicznej tak cudownie ujawniony dokument. Oto treść listu, który prawdopodobnie został 1 września 1954 r. wysłany z Bonn do Waszyngtonu:

„Drogi Panie!

Wróciłem dziś z dorocznego sierpniowego wypoczynku i niemiłe jestem zaskoczony, właściwiej będzie powiedzieć: wstrząśnięty tym, co nas spotkało. Pamięta Pan, jak jeszcze w lipcu obiecywałem sobie piękne, huczne święto na dzień 1 września 1954. Byłem Panu tak wdzięczny za to, że zgodził się Pan tę właśnie datę wyznaczyć parlamentowi Francji jako ostateczny termin uchwalenia układu o obronie naszej wspólnoty europejskiej. W Ameryce nie wyczuwacie może, ile sugestywnej siły udzielają prawdziwym Europejczykom różne daty z historii Europy. Data 1 września należy do najpiękniejszych, bo otwierających drogę na wschód.

Marzyłem w czasie wakacji nieraz, jak wspaniale powiążemy najlepsze tradycje Europy, ogłaszając 1 września 1954 utworzenie nowej armii europejskiej. Przypominam sobie Pańskie słowa, wypowiedziane przed kilku laty w ogrodzie mego domu w Rhoensdorf, gdy odwiedził mnie Pan po raz pierwszy z zaszczytnym powołaniem na stanowisko kanclerza tworzącej się wtedy państwowej kolebki zjednoczonej Europy:

„Nadejdzie dzień, kiedy utworzymy nową armię europejską już bez dyletactwa Hitlera. Musimy wykluczyć zatem wojnę na dwa fronty. Wciągniemy więc do armii tej armie francuską i angielską, by z chwilą utworzenia naszej wspólnoty Francja okupowana była przez wojska Pańskiego kraju już odtąd na zawsze, tak jak Anglia przez wojska naszego kraju. Wtedy będziemy wolni w marszu zwycięskim na wschód!”

Wypowiedział Pan wtedy marzenia moje i moich wielkich poprzedników na kanclerskim stolcu. Popelniliśmy jednak błąd ufając zbyt naszym Francuzom. Wiem, że ich Pan nie cenil nigdy zbyt wysoko, ale miał Pan słabość do tego pijaczyny Bidault, który rzeczywiście robił co mógł, ale mógł coraz mniej, aż doszło do katastrofy. Niepotrzebnie też klócił się po piąnemu w Genewie z Edenem, bo to spowodowało, że i angielska partia we Francji miała dość naszego pocziwego Bidault. Szkoda, że Pana w tym czasie nie było w Genewie, jestem przekonany, że twarda Pańska ręka powstrzymałaby lawinowy bieg naszych francuskich kamyczków.

Proszę wybaczyć te przyjazne wypominki, ale to już przywilej starości, a po raz pierwszy czuję się stary i zmęczony... Zbliżam się do osiemdziesiątki, z moich rówieśników, z którymi przed

z górą pół wiekiem tworzyliśmy hultajską trójkę w znanej korporacji studenckiej tu w Bonn, a w pół wieku później w trzech stolicach Europy pisaliśmy pod Pańskim dyktandem układ o europejskiej armii, odszedł niedawno na zawsze Alcide de Gasperi, a Robert Schuman utracił siłę głosu we francuskim parlamencie... Tylko myśl o Pańskim istnieniu przywraca mi siły i jasność widzenia.

Już mi lepiej. Oczywiście w chwili słabości w ocenie sytuacji popelnilem błąd. To nie wina naszych Francuzów czy naszych Anglików doprowadziła nas do tej ślepej uliczki, w którą zabrnęliśmy. Winowajcą jest tu Wschód, komunistyczny Wschód, który mami narody pokojem, jakby pokój był zbawieniem świata.

Po zawieszeniu broni w Korei i w Indochinach stała się rzecz straszna: narody wierzą w możliwość pokojowego współistnienia komunistycznego świata ze światem kapitalistycznym i zaczynają wierzyć w możliwość stworzenia zbiorowego bezpieczeństwa dla wszystkich narodów!

W tej sytuacji pozostaje nam tylko jedno: zbudować sobie nad Renem armię, która zagrozi z pomocą armii Pańskiego kraju całej Europie wschodniej i zachodniej, południowej i północnej i skończy się ta paplanina o możliwości stworzenia zbiorowego bezpieczeństwa.

Powinniśmy się w tej sprawie spotkać jak najszybciej, by omówić szczegółowy plan tego przedsięwzięcia, które musi szybko być zrealizowane, jeśli ma być skuteczne. Zmarnowaliśmy już blisko dziesięć lat, czego nie można powiedzieć o Wschodzie. Czy Pan wie (oczywiście wie Pan to również dobrze jak ja, bo wiadomości otrzymujemy z tego samego źródła: od naszego kochanego Gehlena), że np. w takiej Polsce



— cóż to był za śmieszny kraj przed 15 laty! — żołnierz jest dziś już równie dobrze wyćwiczony i uzbrojony jak radziecki! Droga na wschód stała się nie tylko dłuższa, ale i coraz trudniejsza! Dlatego doradzam pośpiech, jeśli nasza wspólna obrona przed pokojem ma odnieść jeszcze jakiś skutek...

Cała moja nadzieja w Panu i w naszych wspólnych waszyngtońskich i nowojorskich przyjaciółach!”

Na woskowej twarzy kanclerza zaślusł leciutki lisi uśmiech, dopisał szybko jeszcze jedno zdanie:

„Zawsze i tylko Panu oddany”.

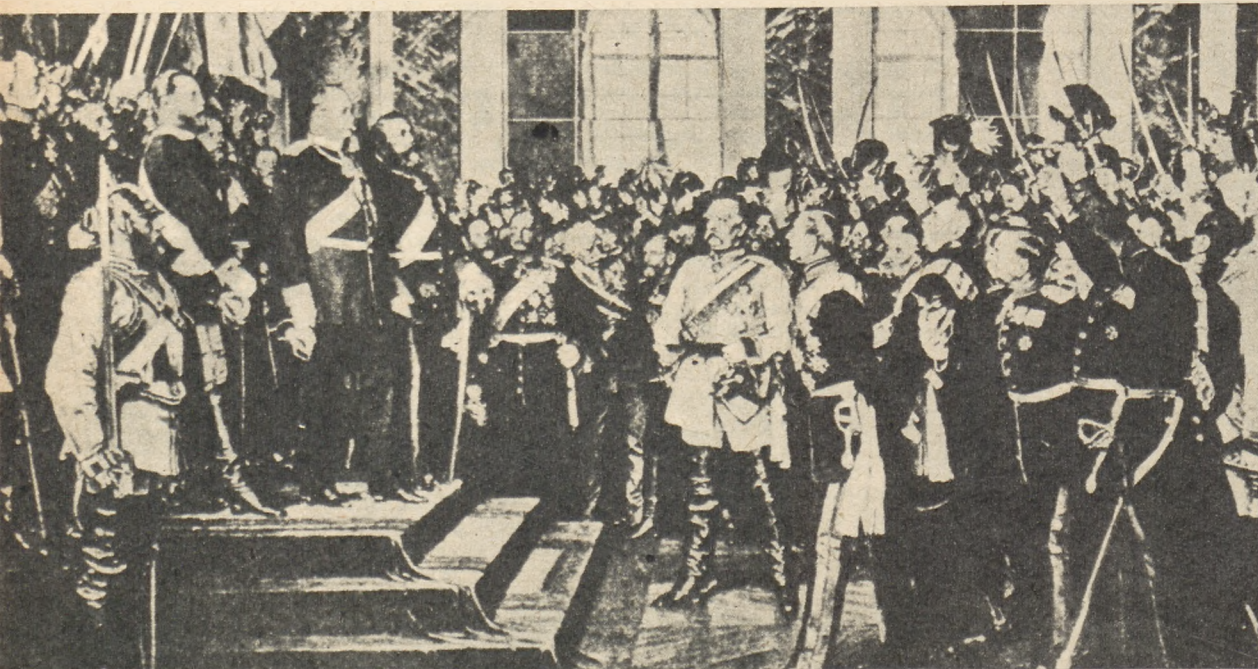
Potem wykaligrafiował starannie swój podpis i znikł wraz z listem z cudownej szyby w oknie mego pokoju. Pozostał za to na białych przedtem kartkach papieru odpis tak cudownie ujawnionego dokumentu.

A jeśli autor tej epistoły, naprawdę wierzący w cuda Herr Adenauer, zaprzeczy autentyczności ogłoszonego tu listu, to udowodni tylko raz jeszcze, jak zwednicze i zawodne jest wszystko, co mówi czy pisze stary boński kanclerz.

EDMUND J. OSMANČZYK



WSPÓLNY

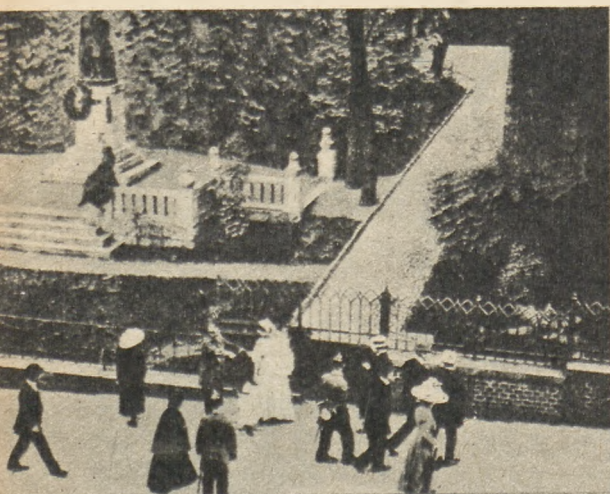


Było to 18 stycznia 1871 roku, po Sedanie i pośpym triumfie pruskich dywizji Bismarcka. W Wersalu — starej siedzibie francuskich królów — Wilhelm I ogłosił się cesarzem Niemiec. W dziejach militarizmu niemieckiego rozpoczynał się nowy rozdział.

Ani jedna z trzynastu zamieszczonych niżej reprodukcji nie wymaga obszerniejszego komentarza. Te zdjęcia pochodzą z Francji i Polski. Tematem ich są wydarzenia, które obywateli obu krajów znają z własnych, najbardziej bolesnych przeżyć, a również z doświadczeń przekazanych im przez ojczyzną historię. Data 1 września powtarza się w niej dwukrotnie. Pierwszy września 1870 roku — to straszliwa klęska wojsk francuskich pod Sedanem. Pierwszy września roku 1939 — to początek katastrofy na ziemiach Polski. Pomiędzy tymi dwiema datami mieści się jeszcze jeden atak wspólnego wroga: agresja militarizmu niemieckiego w roku 1914.

„Życie jak gdyby zamarło... Po południu... czarna masa wojsk spłynęła ze stoków świętej Katarzyny, a dwa inne strumienie najeźdźców ukazały się na drogach wiodących od Darneta i Boissuillaume... Przez wszystkie ulice napływała armia niemiecka rozwijając swe bataliony, bruk głucho jęczał pod ich twardym, rytmicznym krokiem. Rozkazy wydawane obcym, chrapliwym głosem rozlegały się wśród domów, które zdawały się martwe i opuszczone, podczas gdy spoza zamkniętych okien nie oczy Francuzów śledziły poruszenia zwycięzców, panów miasta, losów i życia ludzkiego na mocy „prawa wojny“... Do każdych drzwi pukały drobne grupki żołnierzy... Po inwazji następowała okupacja...”

Ten opis Maupassanta dotyczy miasta Rouen w roku 1870. Mieszkańcom Warszawy i Paryża przypomina on jednak nie tak odległe lata wspólnej walki ze wspólnym wrogiem, lata braterstwa broni i wspólnie przelanej krwi.



Rok 1913 na okupowanej ziemi Polski. Pruska policja uważa zatrzymanie się przed pomnikiem Mickiewicza w Poznaniu za akt rewolucyjny. „W niedzielę 20 lipca — donosiła prasa ówczesna — wiele osób kraniono, przeszło 20 osób aresztowano... W poniedziałek nastąpiły dalsze represje”.



Rok 1913 na okupowanej ziemi Francji. „W Alzacji — donosiły dzienniki w początkach grudnia — zapanowało olbrzymie wrzenie. Przyczyną jego jest dzikie postępowanie oficerów 99 pułku z żołnierzami alzackimi i ludnością miasta Saverne”.



Francuski rok 1940. Sedan po raz wtóry.



Grupa wolontariuszy polskich, którzy w latach pierwszej wojny światowej bronili ziemi Francji. Ich mundur zaprojektował Ksawery Dunikowski, jeden z ówczesnych ochotników, znakomity rzeźbiarz, noszący dziś tytuł Budowniczego Polski Ludowej. Wolontariusze walczyli nad Marną i Sommą, pod Arras i pod Verdun.

Lato 1940. Paryż. „Przez wszystkie ulice napływała armia niemiecka...”



WRÓG – WSPÓLNE DOŚWIADCZENIA

„Jeszcze Francja nie zginęła!” — wołał w sierpniu roku 1870 Cyprian K. Norwid. Okrzyk ten podejmowali później polscy wolontariusze broniący ziemi Francji, górnicy polscy odbudowujący zagłębia Nordu i Pas-de-Calais, polscy uczestnicy Ruchu Oporu, żołnierze wielkiej antyhitlerowskiej koalicji narodów walczących o wolność ziemi nad Sekwaną i ziemi nad Wisłą.

Działo się to za sprawą tradycyjnej i serdecznej przyjaźni, a również w imię najlepiej pojętej miłości ojczyzny. W niedawnej nocy Rządu Polskiego, który zaproponował Rządowi Francuskiemu zawarcie Traktatu Przymierza i Pomocy Wzajemnej dla wzmocnienia bezpieczeństwa obu krajów, mogliśmy przeczytać:

„Historia wykazała, że bezpieczeństwo, niepodległość i wielkomocarstwowe stanowisko Francji leży w najżywniejszym interesie Polski, jak również niepodległość i rozwój sił Polski leży w interesie Francji...”

„W planach... które są przedmiotem publicznych oświadczeń działaczy politycznych i wojskowych w Niemczech zachodnich, jawnie mówi się... o celach i zamierzeniach, których agresywny charakter w stosunku do sąsiadów Niemiec, przede wszystkim zaś w stosunku do Polski i Francji, nie może wzbudzać najmniejszych iluzji...”

„W tych warunkach Rządy Polski i Francji powinny podjąć kroki, które by odwróciły ten niebezpieczny bieg wypadków i przyczyniły się do wzmocnienia bezpieczeństwa obu narodów...”

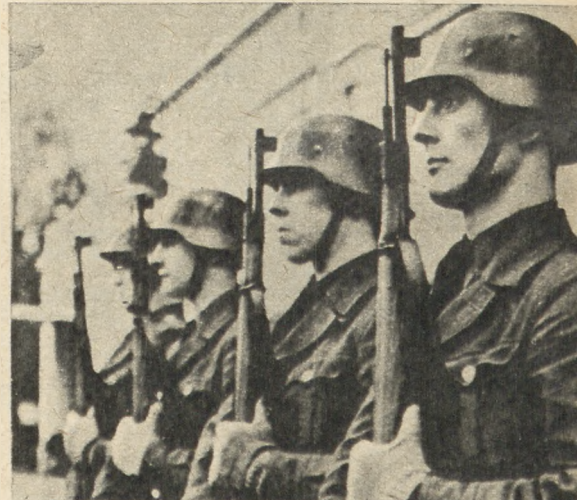


Pod paryskim Łukiem Triumfalnym i na centralnym placu Warszawy dokonał się ostatni akt polityki Monachium, godzącej w najżywniejsze interesy narodów.

Polski rok 1939.
„Po inwazji następowała okupacja...”



Oświęcim — jeden z wielkich cmentarzy Europy. Męczeńska śmierć była tu wspólnym udziałem milionów obywateli Polski i Francji.



To zdjęcie pochodzi z roku 1954. Wspólny wróg podnosi głowę. Mroczne sily agresji powołują chęć do życia nowy Wehrmacht.

W imię naszych wspólnych doświadczeń i wspólnych walk zwracamy się do bratniego narodu francuskiego. Powinniśmy działać wspólnie.



Jesień 1939. Warszawa. „Przez wszystkie ulice napływała armia niemiecka...”





W szybkim tempie odmienia się stolica Bulgarii — Sofia. W śródmieściu i na przedmieściach wznoszą się nowe domy. Będą w nich mieszkać ludzie pracy.

DZIEWIĄTY WRZEŚNIA

Na herbie państwowym ludowej Bulgarii widnieje data: 9 września 1944. Dzień ten rozgranicza dwie epoki w historii narodu bułgarskiego.

9 września roku 1944 wybuchło w Bulgarii powstanie ogólnonarodowe, wymierzone przeciw hitlerowcom i współdziałającej z nimi kłacie dworskiej. Wojsko i lud wspólnie z oddziałami Armii Radzieckiej oczyściły kraj od okupanta. Naród bułgarski wniósł swój wkład do wspólnej walki narodów przeciw faszystowskiej niewoli.

Obecnie, świętując 10 rocznicę wyzwolenia, naród bułgarski obchodzi równocześnie dziesięciolecie istnienia ludowego państwa. Obchodzi w okresie, kiedy wysoko w niebo wznoszą się kominy nowych miast przemysłowych — Dymitrowgradu i Rudoziumu, kiedy z nowych elektrowni wodnych „Asenica“, „Widima“ i „Tyża“ płynie prąd dla miast i wsi, kiedy chłopci zbierają plony półtora raza większe niż przed wojną, a w dawnych pałacach cesarskich spędzają wczasy tysiące ludzi pracy.

Przekazując w dniu święta narodowi bułgarskiemu życzenia dalszego rozwoju — zamieszczamy kilka reprodukcji prac naszych plastyków, którzy gościli niedawno w tym pięknym kraju i w swoich pracach utrwaliли wyniesione wrażenia.



rys. Jerzy Tchórzewski

STARE DOMY WIEJSKIE



rys. Jerzy Tchórzewski

DZIEWCZYNA BULGARSKA



rys. Karol Ferster

NA RYNKU OWOCOWYM W MIEŚCIE STALIN



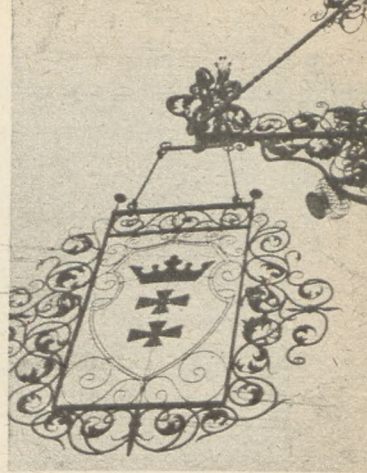
rys. Jan Marcin Szancer

ULICZKA WIEJSKA

PO PIECIUSET LATACH...

MIROSLAW AZEMBSKI

Zdjęcia: W. PRAŻUCH



W 500-ną ROCZNICĘ WYZWOLENIA GDAŃSKA

4)

W NOWĄ erę dziejową wkraczał Gdańsk bez patosu: cieszył się z każdej zdatnej do zamieszkania izby (niechaj będzie i piwnica), z każdej niezbyt zardzewiałej rury do piecyka, z kawałka papy do pokrycia dachu. Miasto słynące niegdyś z fortuny poniosło straty wojenne nie mniejsze niż Warszawa. Posiadało jednak prawdziwy skarbiec energii swoich dawnych i nowych mieszkańców. Nie mówię tu, rzecz prosta, o ludziach, którzy przez pewien czas decydowali może o jego obliczu — o tych, co szeptali ze sobą tajemniczo, wymieniali motocykl za litr spirytusu, zakładali knajpy i przepowiadali nową wojnę. Ci zniknęli rychło, wraz z pierwszą partią ruin. Pozostali na miejscu gdańszczanie świadkami trudnych zadań przed nimi stojących. Rozpoczęli pracę w okresie, kiedy swąd spalenizny unosił się nad gruzami, kiedy spotkanie z drugim człowiekiem stawało się na tej pustyni wielkim wydarzeniem, a śledź i marmolada przeplatały się nawzajem w przeciętnym menu... Tym właśnie ludziom chciałym tutaj kilka słów poświęcić, w głębokim przeświadczeniu, że to dzięki nim słyszy się coraz częściej słowa: „Byłem w Gdańsku — jakież to piękne miasto! Odbudowuje się tak szybko jak Warszawa...”

KRÓLEWSKA GALEONA I SOLDKOWE MARZENIA

W roku 1570 królewska Komisja Morska orzekła, że Polska nie powinna kupować gotowych statków za granicą, ale budować je sama. Jadamek, Skóra, Netka i Gorczyca biegłymi byli cieślami i niebawem z pni debowych oraz sosnowych i klonowych desek zbudowali pierwszą polską galeonę. Mimo wielkich zdolności wzmiankowych Kaszubów, można sobie wyobrazić, ile trudu kosztował ten debiut. Pomyślałem o tym, czytając wspomnienia Stanisława Soldeka, który prawie w 400 lat później stanął przed równie ciężkim zadaniem. Polska Ludowa postanowiła stworzyć własny, nowoczesny przemysł okrętowy, przed wojną u nas nie istniejący. Stanisław Soldek jako młody chłopiec praktykował w stoczni modlińskiej, gdzie co pewien czas spuszczano na wodę barke, motorówkę czy temu podobny „okręt” dla marynarzy słodkich wód. Praktykantowi marzyły się tymczasem okręty prawdziwe, pełnomorskie. I dowiedział się pewnego dnia, że Stocznia Gdańska rozpoczyna produkcję...

„Nie namyślałem się długo — pisze — zlikwidowanie moich skromnych spraw w Płocku było kwestią kilku godzin. Następnego dnia siedziałem już wśród ruin gdańskich domów ku widocznym z daleka kranom stoczni. Nie dostrzegałem jednak gruzów i strasznego zniszczenia. Przed oczyma wyobraźni miałem pełnomorskie, błyszczące od świeżej farby obrazy, majestatycznie ruszające z pochylni ku morskiej głębi. Na ich rufie widziałem dumnie powiewającą flagę polskiej floty, floty państwa, posiadającego 500-kilometrowy dostęp do morza.

Gdy jednak znalazłem się na terenie stoczni, szybko zapomniałem o widzianych w wyobraźni morskich kolosach. Stosy żelastwa, gruzu, wyrwy od bomb i pocisków, poskręcane szkielety konstrukcji hal i magazynów — oto widok, jaki przedstawił się moim oczom. O, trzeba tu będzie jeszcze dobrze popracować, zanim produkcja ruszy pełną parą. I pracowało się. Mimo że dostatek przydziału do traserni, niejedną raz z łopatką lub kilofem w rękę wydobywałem też spod gruzów obrabarki i części maszyn, oczyszczałem z rumowiska hale i magazyny...”

Taki był jego pierwszy krok „w stronę marzeń”. Skromny jak wszystko, co w owych latach w Gdańsku inicjowano; pracę w traserni rozpoczął Soldek od rysowania elementów zwykłej barki, trochę może okazalszej niż tamte modlińskie.

„Nie był to okres łatwy. Przeszkody piętrzyły się na każdym kroku. Wróg usiłował szkodzić, starał się zachwiać naszą wiarę we własne siły, w możliwość zbudowania własnego, potężnego przemysłu stocznioowego. Na trudności była rada: zacisnąć zęby i zdwoić wysiłki. Ale nie ustępowaliśmy ani na krok...”

„...Aż wreszcie nadszedł 6 listopada 1948 r. Najradośniejszy dzień mego życia. Pierwszy polski statek pełnomorski, zbudowany całkowicie rękami polskiego robotnika — opuścił stocznie. Nie przypominam sobie dziś dokładnie szczegółów uroczystości wodowania. Zbyt byłam wzruszony...”

Przeżył później jeszcze niejedną uroczystość: wodowano w Gdańsku statki coraz większe, ostatnio „trampy” o 5000 ton wyporności.

Soldek kończy obecnie studia na Politechnice Gdańskiej. („...A więc nauka! Nie myślcie, że to tak łatwo do trzydziestoletniemu mężczyźnie wziąć się na nowo do książek...”). Gdy powróci do stoczni z dyplomem magisterskim w Kieszni, w traserni będą już rozrysowane elementy pełnomorskiego kolosa o 10.000 ton wyporności i najnowocześniejszych urządzeniach. Lata pomyślności i koledzy, zachęcenie jego przykładem, potrafili tak bardzo pchnąć naprzód produkcję, że znalazła się ona na jednym z czołowych miejsc w

Europie. A tym samym przemysł okrętowy stał się źródłem coraz dostatniejszego życia dla ludności nowego Gdańska.

KAMIENNY ŚWIAT INŻYNIERA KROMANA

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Soldek nakreślił pierwsze linie rudowęglowca, młodziutki student architektury, Jan Kroman, przestąpił próg swego kamiennego świata. W zaczarowanym kręgu lwów, gryfów i boginek z piaskowca przebywa do dzisiaj. Sylwetka tego bladego, rudawego młodzieńca stała się w Gdańsku dobrze znana; schylony grzebie w gruzach, szuka odłamków marmurowych i granitowych rąk, nosów, skrzydeł i ogonów. Obywateli nakłania, aby każdy rzeźbiony kamień odnosił do zbiornicy. „Gdańsk był kamienny — mawia — i powinien takim pozostać”. Stoją już zrekonstruowane kamieniczki Starego Miasta, a Kroman, dzisiaj już inżynier, dba, aby frontony nie były ani o jotę uboższe w ozdoby niż za swoich najlepszych, renesansowych i barokowych czasów.

by niż za swoich najlepszych, renesansowych i barokowych czasów.

Odwiedziłem go w pracowni; promieniał, ponieważ odniósł kolejny triumf. Przez wiele dni śleczął nad fotografiami z jakiegoś prywatnego albumu i kojarząc twórczą fantazję z matematyką odtwarzał zginioną tarczę herbową. Gdy dzieło już ukończył, przyniesiono mu tarczę oryginalną, dopiero co znaną w piwnicy: jego projekt pokrywał się z oryginałem w stu procentach!

Pod ścianami stali święci pańscy obok brzuchatych kupców i średniowiecznych „kociaków”. Na betonowej podłodze wstrętny szczur spoczywał obok pięknej Astronomii, kobiety zaopatrzonej w lunetę i różę wiatrów; Merkury z ukosa wpatrywał się w żeglującą fregatę, a — za przeproszeniem — „rzygacz”, czyli młodzian o gębie otwartej, przyglądał się temu całemu towarzystwu z wielkim obrzydzeniem. Gdyby go podłączono w tej chwili do zbiornika z wodą, opluby niewątpliwie wszystkie szanowne zabytki.

Kroman tymczasem spokojnie opowiadał o Gdańsku. Zmar-

Pulsują życiem ulice gdańskiego Starego Miasta. Do końca bieżącego roku w odbudowanych zabytkowych kamieniczkach przybędzie 5.360 izb, w których zamieszkają stocznioowcy oraz budowniczości nowego Gdańska.



ty profesor Kielarski roztoczył kiedyś przed nim wizję miasta, takiego, jakim było przed zniszczeniem i jakie właśnie powstaje z gruzów: miasta ulic szerokich (ciągnęły nimi kupieckie karawany), piwnic solidnych, gdzie składowano towary, przestawnych gdańskich sien i tak bardzo charakterystycznych przedproży, to znaczy tarasów, na których siadywali kupcy w oczekiwaniu klienta. O taki Gdańsk, polski, nie skażony późniejszymi wstawkami pruskiego l'esprit podjęli walkę uczeni, robotnicy i artyści i wygrali ją w pierwszym etapie — odbudowali w dawnej postaci dzielnicę staromiejską, a w szczególności ulice: Długą, Długi Targ, Ogarną, Piwną i Tkacką.

— Spierają się tylko, jak powiązać Stare Miasto z nową dzielnicą mieszkaniową, która ciągnąć się będzie od Dworca aż do Stoczni. Ja radzę oddzielić je pasem zieleni. W ogóle przecież można znaleźć sposób pogodzenia nowego ze starym, proszę popatrzeć...

Wyszliśmy na ulicę i musiałem przyznać mu rację. Oto żłobek w gdańskim budyńeczku, na jego przedprożach będą tarasy do leżakowania. Tamte znowu przedproża są wymarzoną miejscem na kawiarnię, w stylowych latarniach zapłoną żarówki, a na wywieszkach żelaznych, zdobnych w finezyjne esy-floresy, odczytamy: „Obuwie — MHD“, „Bar mleczny“ i tak dalej. No i zrozumiałe, że we wszystkich tych pałacykach są łazienki, pralnie elektryczne i telefony. Stare i nowe stopione w jedną szczęśliwą całość.

W KUŹNI SPRYTNEGO WULKANA

W towarzystwie Kromana i inżyniera Bary z Miastoprojektu poszedłem na ulicę Ogarną, aby poznać jeszcze jedną popularną w Gdańsku osobistość. Wulkan najprawdziwszy, zabłąkany w wiek dwudziesty! Zastaliśmy go w kuźni — pochylał się nad kadzią z wrzącym olejem i nurzał w niej ozdobne kraty, klamki w kształcie liści oraz wywieszki, w rodzaju tej, którą widzicie na winiecie niniejszego artykułu.

Kłęby tłustej pary unosiły się pod sufity. — Potrzebna taka kąpiel — śmiał się Wulkan. Trzeba nasycić żelazo olejem, wtedy przetrwa stulecia...

Wulkan ma orli nos, fantazyjny berecik i nazywa się Marian Ogorzeja. Liczy sobie dopiero 38 lat, przed wojną nie miał pojęcia o istnieniu ślusarki artystycznej. W czasie wojny wywieziono go na roboty do Niemiec i przydzielono do pracowni głównego konserwatora zabytków Berlina. Konserwator nie wiedział, jaką „źmię“ wyhoduje sobie na łonie; Ogorzeja podpatrzył wszystkie tajemnice metaloplastyki, po czym... zwił do Polski. Łowiło go gestapo, ale przetrwał. Po wyzwoleniu przybył do Gdańska. Metaloplastyka? Owszem, rzemiosło takowe istniało w czasach Renesansu, kwitło szczególnie w Gdańsku. Ale skoro teraz powstała możliwość odtwarzania metalowych zabytków — może spróbować, dla czego nie...

Sprytny Ogorzeja, który hitlerowców wykiwał i jeszcze się czegoś od nich nauczył, ujął w jedną dłoń punktownik, w drugą młotek, rozgrzał mosiężną blachę i ją wykuwał rzeczy precyzyjne, a trwałe. Podał mi miastu świętego Jerzego, figurę metalową naturalnej wielkości, a także króla Zygmunta, który posiada 1 m 86 cm wzrostu i dumnie obraca się na ratuszowej wieży. Ogorzeja organizuje teraz odczyty, uczy innych, kształci armię rzemieślników-artystów, nie mniej może zdolnych niż ich średniowieczni poprzednicy...

W GDAŃSKU DZIEJA SIĘ CUDA...

Wizyty późniejsze mogły przyprawić o zawrót w głowie — tyle przynosiły gdańskich rewelacji. Widziałem archiwum Miastoprojektu, pomieszczenie o wzmacnianych stropach, ponieważ zwykle zawałyby się pod ciężarem rulonów z projektami domów już odbudowanych i przygotowanych do odbudowy. Kilometry papieru pokryte rysunkami i tomy dokumentów, zawierające opisy słynnych kamienic, jak Dom Uphagena, Kamienica Ferberów, „Lwi Zamek“, „Stara Apteka“, „Dom pod



Ziściły się marzenia Soldka: odbudowana stocznia gdańska woduje już pełnomorskie statki o wyporności 5 000 ton, a niebawem przystąpi do produkcji kolosów o 10 000 ton wyporności i najnowocześniejszych urządzeniach.

Sloniem“ itd. itd., rysunki Chodowieckiego, Randta, Mellera, wspominki podróżników, zdjęcia amatorskie — wszystko, co tylko może być jakąś pomocą w odtwarzaniu zniszczonych zabytków, leży na półkach czekając na swoją kolej. Dowiedziałem się przy okazji, że architektura i sztuka gdańska z okresu, do którego powracamy w odbudowie, nosi na sobie wpływy flandryjskie, a nawet wschodnie, dalekie, zamorskie, ale nigdy nie germańskie.

W sali następnej oglądałem plany nowoczesnych dzielnic mieszkaniowych, nad którymi górować będzie wieżowiec Wojewódzkiego Domu Kultury, podobny nieco do warszawskiego Pałacu. Usłyszałem parę ostrych słów o błędach, jakie popełniono: o wnętrzach ultradwudziestowiecznych, nijak nie pasujących do renesansowych elewacji, o złej lokalizacji przedsiębiorstw i na odwrót — o tym, jak ożywiają zabytkowe budowle przekazywane właściwym „branżom“ (taka Zbrojownia, gdzie wprowadziła się Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych znajdując miejsce na 18 sal wykładowych, hale wystawowe, biblioteki i pracownie).

Trudno byłoby mi nawet wymienić nazwiska ludzi

najbardziej zasłużonych i aktywnych — każdy tu coś wnosi, każdy dokłada jakąś cegiełkę. Są wśród nich tacy, których losy ułożyły się w sposób zabawny, ale zarazem i wzruszający. Oto przykład.

Zył sobie przed wojną w Gdańsku starszy facet, stolarz artystyczny, który trudnił się... artystycznym podrabianiem zabytkowych mebli. Wyrabiał XVII-wieczne szafy łącznie z pęknięciami forniru i dziurami po kornikach. Sprzedawał je później „znawcom“ w Gdańsku i za granicą. Dziś prowadzi swój proceder dalej, lecz... na zamówienie państwowe; pracuje z zaciętością większą niż kiedykolwiek, pełen dumy z mebli, wędrujących drogą jak najbardziej legalną do odbudowanych wnętrz. Oczywiście nie zarabia już bająskich sum, ale za to odzyskał młodość. Jest mistrzem cenionym, szkoli uczniów, nikt nie nazywa go już fałszerzem. Niezbyt gładko mówi po polsku, wystarczy mu jednak słów, żeby ze wzruszeniem mówić o nowych czasach gdańskich, które po raz pierwszy w jego długim życiu przyniosły mu radość z pracy.

— Tak, tak — powtarza — dzisiaj w Gdańsku dzieją się cuda...



Inżynier Kroman do dzisiaj przebywa w zaczarowanym kręgu rzeźbionych kamieni. Dbą o to, aby frontony kamienie nie były ani o jotę uboższe w kamienne ozdoby niż za renesansowych i barokowych czasów



Marian Ogorzeja ukończył właśnie wykuwanie zegarowej wskazówki. Zanurzy ją jeszcze we wrzącym oleju...

„NA FRECIE” SZEROKIEJ I WĄSKIEJ

SKĄD powstała niezrozumiała na pozór nazwa ulicy Freta? Freta w łacinie średniowiecznej oznaczała pole nieuprawne — ager incultus. Już w XV w. istniały w Warszawie dwie miejscowości, zwane Fretami. Jedna, to dzisiejsza Freta, prowadząca ze Starego Miasta na Rynek Nowego Miasta, a druga to późniejsze Krakowskie Przedmieście. Obecna Freta od r. 1494 zwała się „Freta Novae Civitatis”. Od r. 1520 mówiono „na Frecie”, co oznaczało przedmieście za murami obronnymi.

Freta nigdy nie miała okazałych gmachów. Zamieszkiwało ją mieszczaństwo i kupiectwo, a słynęła ze sklepów z modnymi kapeluszami i czapczkami. Mieściło się też na niej dużo sklepików z wódką. Znanymi poetami Józef Dionizy Miński, żyjący w pierwszej połowie XIX w. w „Tworach” podaje taką fraszkę:

NA FRETA

Ja. Jak tu pełno sklepików, choć ulica krótka!

On. Bo proceder zyskowny.

Ja. A jakież to?

On. Wódka.

Freta słynęła nie tylko z licznych sklepów z wódką, lecz również i z wesółych dziewcząt. Szpieg carski Henryk MacKrott w raportach swych, pisanych po francusku dla w. ks. Konstantego, przytaczał złośliwie, jak to różne znane osobistości, podnosząc kołnierze od palt i naciągawszy kapelusz na oczy, chadzały na Freta...

Rozróżniano dwie ul. Freta, jedną Szeroką i drugą Wąską. Szeroka kończyła się przy ul. Świętojskiej.

Zatrzymajmy się na wspomnieniach, związanych z poszczególnymi kamienicami tej ulicy:

Po stronie prawej, pod Nr 4 na wprost ul. Długiej, mieszkał popularny rymopis Soter Rozbicki, autor „Anegdotek”, zebranych z podań ludowych.

Posesję Nr 8 zajmuje kościół i klasztor Dominikanów pod wezwaniem św. Jacka. W pierwszych latach w. XVII barokowa ta świątynia została wzniesiona przez architekta Włocha, Jana Italusa, który budował też katedrę św. Jana.

W r. 1823 w celach dochodowych, według projektu budowniczego Hilarego Szpilowskiego, postawiony został od frontu kościoła budynek neogotycki z przeznaczeniem na sklepy. Maurycy Mochnacki nazwał ten budynek „parawanem”.

Z kościołem Dominikanów związane jest wspomnienie o zamachu konfederata

Strawińskiego na Stanisława Augusta (1773); mianowicie zakonnicy przyjęli na nocleg konfederatów przebranych za chłopów i z tego powodu mieli później przykrości. W klasztorze przy kościele było pierwsze więzienie stanu za Królestwa Kongresowego, przeniesione następnie do klasztoru karmelitów na Lesznie.

Pod Nr 10 mieścił się Zakład Sierot Chłopców im. Stanisława Jachowicza, zaś pod Nr 14 w końcu w. XIX istniała cztero-klasowa pensja żeńska Heleny Budzińskiej. W kamienicy Nr 16 urodziła się 7 listopada r. 1867 Maria Skłodowska-Curie. 26 sierpnia 1944 poległ w jej murach sztab Armii Ludowej.

Po stronie lewej, na rogu Długiej, dom Nr 1 należał w końcu w. XVIII do Jana Dulfusa, kupca bławatnego, jednego z najzasłużniejszych za Augusta III prezydentów Warszawy. Jemu zawdzięczało miasto pierwsze oświetlenie ulic latarniami, pobudowanie studzien publicznych i sprowadzenie z ul. Długiej, ze źródła przy domu, zwanego „na rurach”, wody na Rynek Starego Miasta.

U Dulfusa zbierał się często świat muzyczny. Bywał w tym domu Stanisław August u swej synowicy Tyszkiewiczowej, a później Talleyrand, któremu uroczą gospodyni potrafiła „zawrócić głowę”.

Okazały dom Nr 5 wystawił w połowie w. XVIII w stylu włoskim Maraszewski, wójt Starej Warszawy. Zdobił ten dom jeszcze w r. 1923 pod balkonem herb przedstawiający Samsona, rozzwierającego lwa. Za Sasów i Stanisława Augusta był tu najstojniejszy handel win. W kamienicy Maraszewskiego zamieszkiwał sławny pisarz i kompozytor niemiecki Ernest Amadeusz Hoffman.

W domu Nr 7 mieszkał jeden z lepszych malarzy ówczesnych, uczeń Lampiego i Akademii Rzymskiej, Aleksander Kokular. Ogłaszał po polsku i po francusku, iż „ma honor uwiadomić prześwietną publiczność, że maluje portrety olejno naturalnej wielkości w sposobie Lampiego, miniatury olejno w sposobie dotąd mało znanym, jako też w innych rodzajach malarstwa, za dokładne podobieństwo zaręczając”.

Pod Nr 9 miał mieszkanie dyrektor Komisji Sprawiedliwości, członek departamentu Senatu Karol Łaski, a pod Nr 11 zamieszkiwał znany poeta Kazimierz Brodziński.

Wąska Freta ciągnie się po stronie parzystej do Rynku Nowego Miasta, a po stronie nieparzystej do ul. Franciszkańskiej.

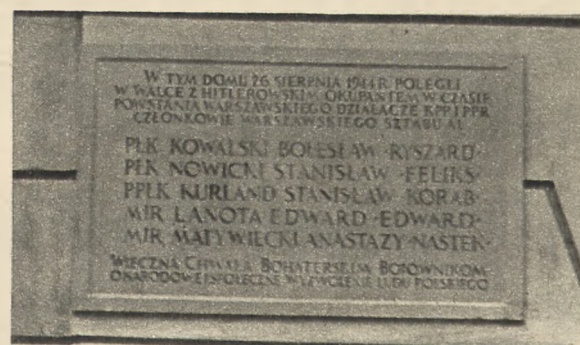
STANISŁAW MAŁACHOWSKI



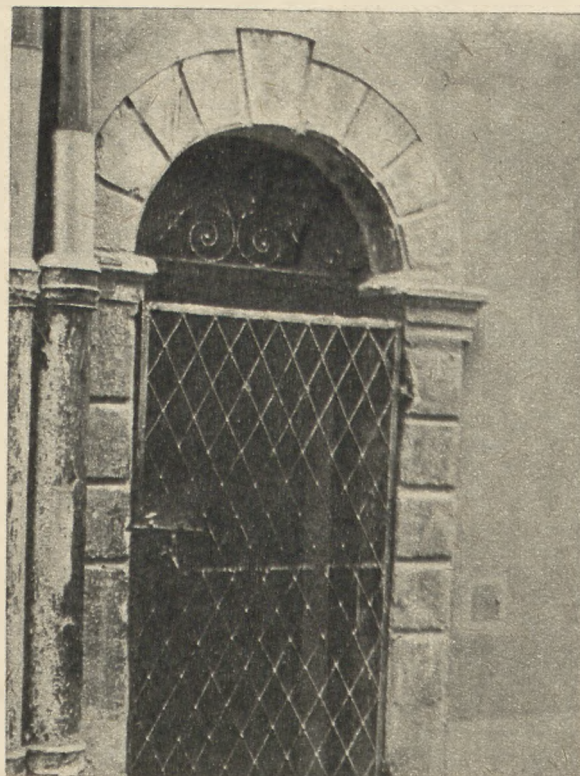
KAMENICA NUMER 16. TU URODZIŁA SIĘ MARIA SKŁODOWSKA-CURIE



Róg ulicy Freta i Świętojskiej. Granica Freta Szerokiej i Wąskiej. Z lewej strony widoczna kamienica ze stylową latarnią, pięknie ozdobiona sgraffito, przedstawiającym ornament roślinny oraz stylizowane zwierzęta i ptaki.



Tablica na domu Freta Nr 16 ku czci poległych 26 sierpnia 1944 r. członków sztabu Armii Ludowej.



Wejście do restauracji „Pod Samsonem”. W domu tym był w w. XVIII najstojniejszy handel win.



W SZTABIE BUDOWY PAŁACU

Korespondencja własna „Świata” z Moskwy
F. POTIOMKIN Fot.: A. CZEPRUNOW



W CZĘŚCI MŁODZIEŻOWEJ PAŁACU KULTURY I NAUKI MIEŚCIĆ SIĘ BĘDZIE MIĘDZY INNYMI

BLISKI jest już dzień, kiedy wysoko nad ulicami i placami Warszawy zabłysną światła w oknach trzydziestu kilku pięter Pałacu Kultury i Nauki, kiedy gościnnie otworzą się podwoje sal teatralnych i koncertowych, hal wystawowych i sportowych.

Tymczasem zajrzyjmy do biur, pracowni i przedsiębiorstw radzieckich, w których architekci, konstruktorzy i robotnicy pracują nad wewnętrznym wykończeniem Pałacu.

Jesteśmy w Moskwie, w pracowniach Zarządu Projektów Pałacu — głównym sztabie budowy. Obecnie duży zespół twórczy architektów i inżynierów wykonuje dokumentację wewnętrznego opracowania poszczególnych sal. Ściany pracowni wypełnione są planami, szkicami i fotografiami modeli poszczególnych części Pałacu. Na stołach — próbki tynków, marmurów uralskich i kaukaskich, drewnianych obiół. Ludzie pochyleni nad rysunkami wykonują właśnie schematy urządzeń oświetleniowych, wentylacyjnych i akustycznych.

Oto architekt Gleb Selugin — jeden z współautorów projektu wysokościowca Uniwersytetu Moskiewskiego. Teraz wspólnie z konstruktorem Wasylem Awramienko pracują nad ostatecznym wyglądem hallu głównego. Selugin wyjaśnia nam:

— Naszym zadaniem było nie tylko opracowanie architektoniczne sufitu, odpowiadające celom pomieszczenia, ale także umożliwienie zainstalowania urządzeń klimatyzacyjnych, zapewnienia miękkiego i jednolitego oświetlenia oraz właściwej akustyki. Właśnie dlatego zamiast płaskiego stropu skonstruowaliśmy sufit podwieszony. W naszej konstrukcji tynki i sztukateria sufitu utrzymywać się będą na siatce metalowej, przymocowanej do właściwego stropu. Podobne sufity będą również w niektórych innych salach Pałacu Kultury i Nauki. W projektowaniu tych sufitów wykorzystaliśmy doświadczenia budowy Uniwersytetu Moskiewskie-

go i kilku innych wysokościowców. Tak np. jedna z piękniejszych sal Uniwersytetu — aula — ma podwieszony sufit.

Nielatwe zadanie otrzymał zespół, który projektuje salę kongresową — jedną z największych sal w Europie.

— Nie od razu doszliśmy do rozwiązania sali w tej formie, w jakiej się ją buduje — opowiada oprowadzający nas inż. Eugeniusz Kalendariew. — Opracowaliśmy kilka wariantów, które szczegółowo przekonsultowaliśmy z instytucjami i osobami, mającymi największe doświadczenie w organizowaniu wielkich zjazdów i konferencji. W projekcie przewidzieliśmy nie tylko wielką pojemność sali, ale i maksymalne wygody dla uczestników zebrań i zjazdów. Tak np. stoły i fotele prezydium można w ciągu pięciu — siedmiu minut opuścić w głąb, a na ich miejscu zmontować estradę koncertową. Wiele uwagi poświęciliśmy urządzeniom klimatyzacyjnym. W czasie posiedzeń cztery potężne agregaty tłoczyć będą do sali w ciągu godziny do 200.000 m³ powietrza przefiltrowanego, o właściwej wilgotności, ogrzewanego zimą, a chłodzonego w gorące dni letnie.

Interesująco opracowane zostało piętro, znajdujące się pod salą kongresową. Środkową część tego piętra zajmie sala przeznaczona na bufet. W środku jej znajdować się będzie wielka fontanna, której czasza wykonana zostanie z białego marmuru o bogatej ornamentacji. Dookoła umieszczone będą jasne kolumny o rzeźbionych głowicach, a szerokie przejścia połączą sale z innymi pomieszczeniami tego piętra.

Z biur projektowych rozsyła się gotowe rysunki i szkice: jedno — na teren budowy w Warszawie, drugie — do setek przedsiębiorstw radzieckich, wykonujących poszczególne elementy wnętrza Pałacu. W pracach tych uczestniczą rzeźbiarze w marmurze na Uralu i Kaukazie, mechanicy w Moskwie, metalowcy Dniepropietrowska, elektrycy Rygi, stolarze Mińska. Dużą część ele-

mentów wykonuje się w przedsiębiorstwach moskiewskich.

Jesteśmy w zakładzie robót wykończeniowych Głównego Zarządu Budownictwa Wysokościowego. Zakład wykonuje obecnie pięciometrowe, składające się z tysięcy części zwierciadła w oprawach z brązu, gipsowe modele dla odlewów metalowych części witraży, sztukaterie ornamentacyjne dla sal i wiele innych elementów, które zdobić będą wnętrze Pałacu.

Ozdoby sztukateryjne dla Pałacu opracowuje m. in. cała rodzina znanego moskiewskiego mistrza Aleksandra Buczkina.

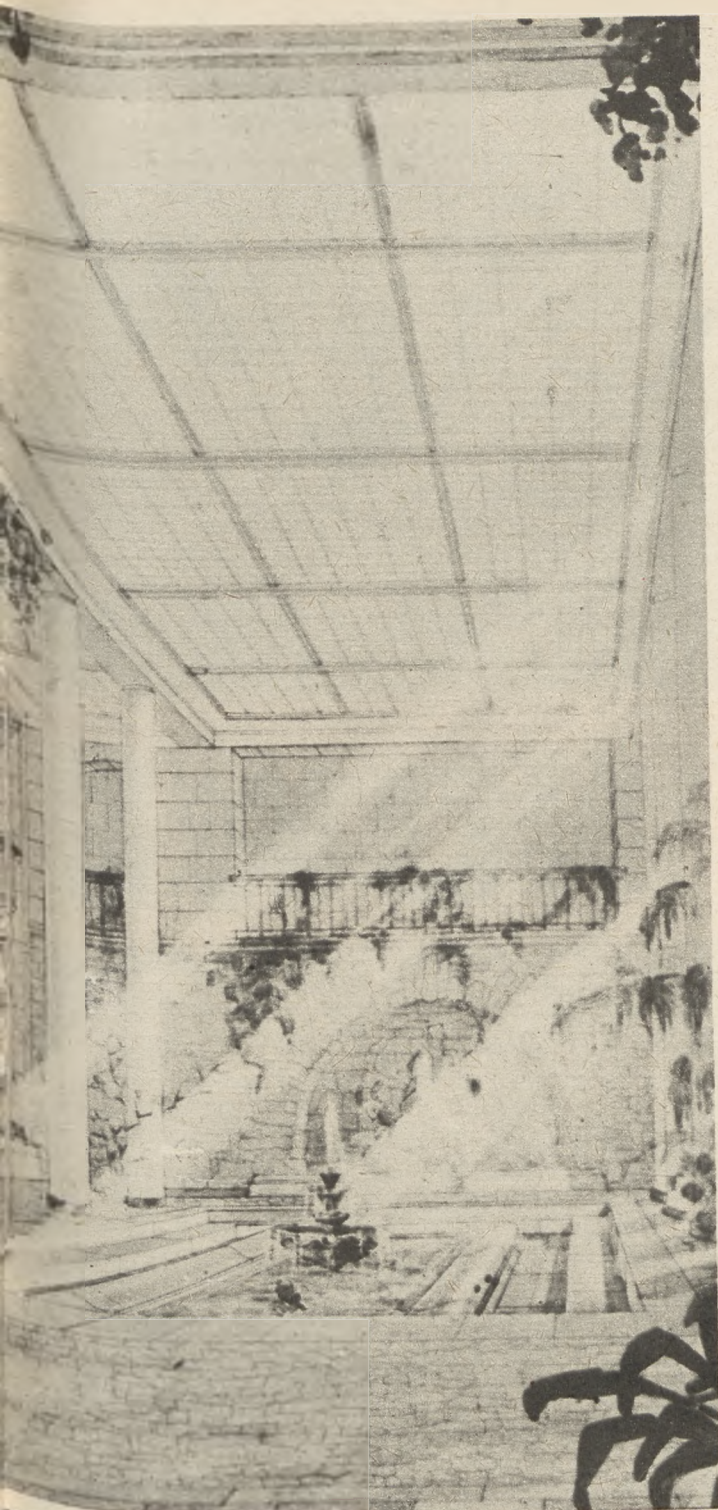
Aleksander Buczkin pracuje nad sztukateriami od wielu lat. Wykształcił też w tym kierunku swoich synów: Wadima i Aleksego. Pierwszy z nich pracuje w zakładzie razem z ojcem, drugi z żoną Niną, absolwentką szkoły rzemiosła artystycznego, delegowany został do pracy na terenie Pałacu w Warszawie.

Spośród uczniów Aleksandra Buczkina wyróżnia się Eulampia Malinowska, która przygotowuje elementy ozdobne dla sal teatralnych Pałacu. Malinowska jest również absolwentką szkoły rzemiosła artystycznego i od 11 lat pracuje pod kierunkiem Buczkina. Obecnie kształci się jeszcze w wieczorowym Artystycznym Studium Budownictwa.

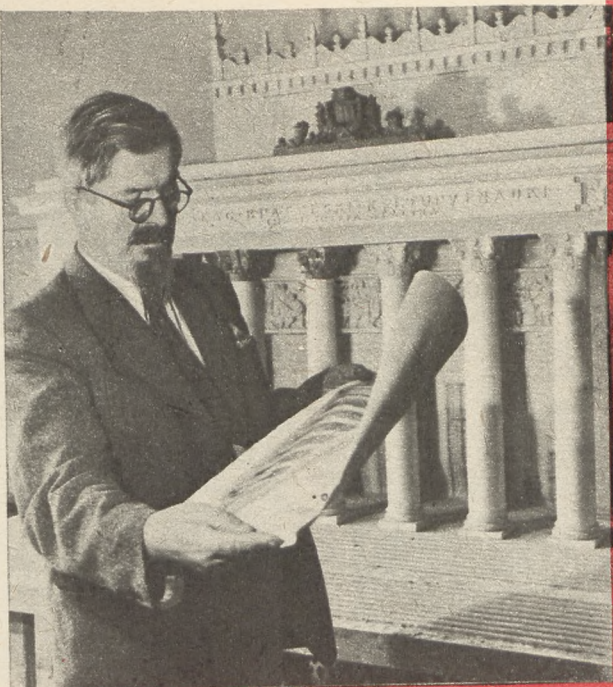
Opuszczając zakład zauważyliśmy wielkie ilości płyt, które starannie pakowano w drewniane skrzynie.

— To są specjalne płyty pochłaniające dźwięk — tłumaczy nam. — Płyty takich, wykonanych u nas według specjalnej receptury, wysłaliśmy już do Warszawy około 11.000.

Wykonując zamówienia dla warszawskiego Pałacu Kultury i Nauki we właściwych terminach i na wysokim poziomie jakościowym — ludzie pracy kraju socjalizmu wnoszą swój skromny wkład do wielkiego dzieła umocnienia przyjaźni między narodami Związku Radzieckiego i Polski.



OGROD ZIMOWY. NA RYSUNKU — FRAGMENT OGRODU.



Główny projektant Palacu, laureat Nagrody Stalinowskiej, wybitny architekt radziecki, prof. Lew Rudniew.

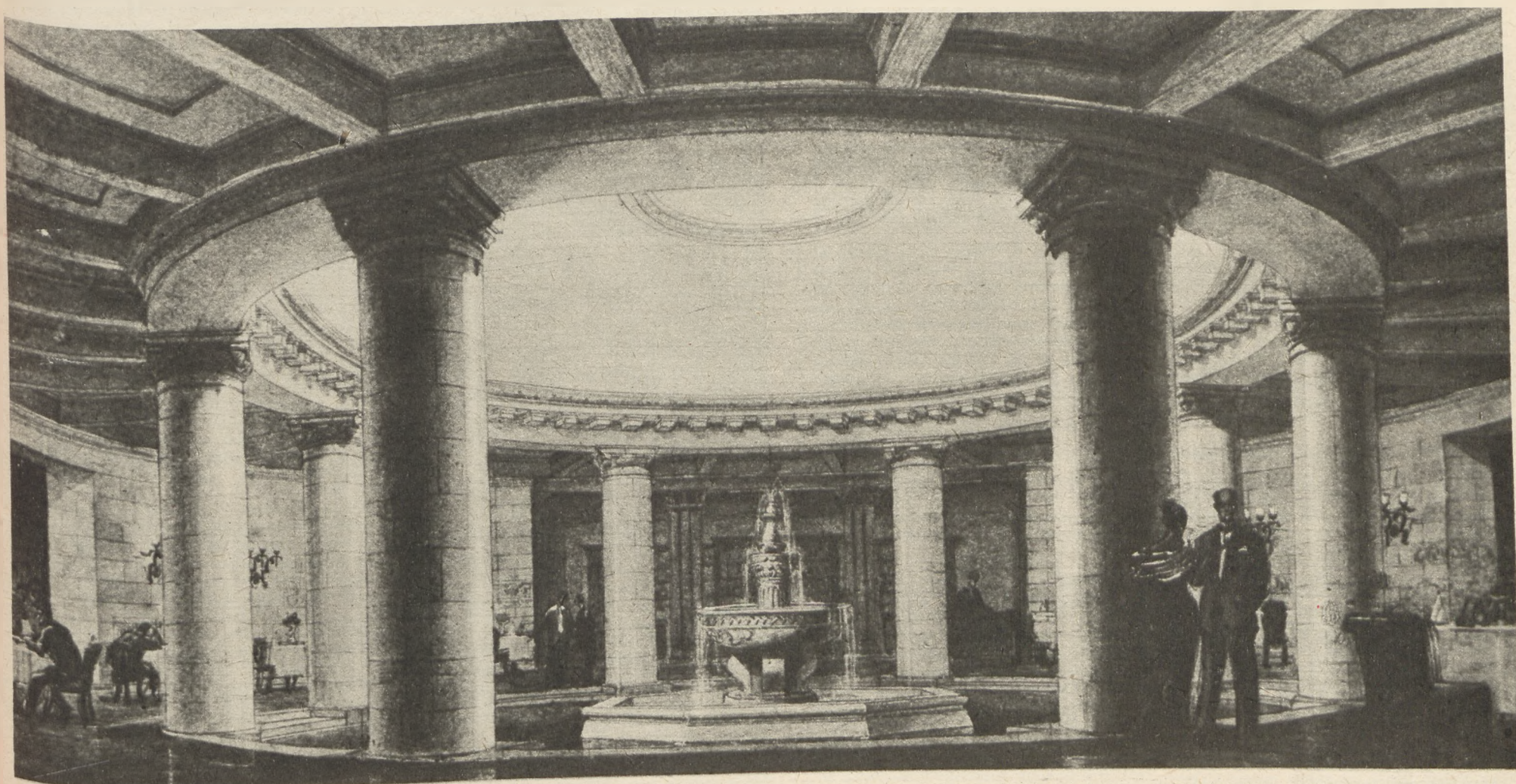


Michał Lyczew (z prawej) i Wadim Buczkin, syn słynnego mistrza, wykonują modele witraży i plafonów.

Uczennica Buczkin, E. Malinowska. Dzieła jej rąk zdobić będą salę teatralną w Palacu Kultury i Nauki.



Inżynier Eugeniusz Kalendariew sprawdza dokładność modeli fragmentów ogromnej sali kongresowej Palacu.



POD SALĄ KONGRESOWĄ ZNAJDZIE SIĘ EFEKTOWNIE URZĄDZONY BUFET, W ŚRODKU UMIESZCZONA ZOSTANIE FONTANNA Z BIAŁEGO MARMURU.



Napisała:
G. WOYSZNIŚ-TERLIKOWSKA

Zdjęcia:
H. WERNER

NA NOWE

WDOLINIE KACZEJ, jednym z najpiękniejszych zakątków Tatr w bratniej Czechosłowacji, rozbili namioty uczestnicy polskiego alpinistycznego obozu treningowego. Naj-

bardziej utalentowani młodzi taternicy pod kierunkiem wypróbowanych w niejednej wielkiej wyprawie starszych kolegów, nabierają tu nowych doświadczeń. Ich wysokogórska działalność stanowi jednocześnie przegląd sił naszej młodej czołówki i będzie podstawą do wyłonienia alpinistycznej kadry narodowej.

Fakt zorganizowania obozu w parę zaledwie miesięcy po powstaniu Sekcji Alpinistycznej PTTK i GKKF, dowodzi niewątpliwie sprężystości jej kierownictwa i jest wielkim krokiem naprzód w naszym życiu taternickim. A utworzenie (nareszcie!) Sekcji Alpinistycznej jest z całą pewnością doniosłym momentem w historii polskiego alpinizmu w okresie dziesięciolecia.

PRZEKAZANIE PAŁECZKI

Sekcja powstała w końcu czerwca bieżącego roku. Wśród kilkudziesięciu ludzi, którzy zjechali na Krajową Radę Aktywu Taternickiego do schroniska w Chochołowskiej, koloryt włosów był bardzo zróżnicowany: od białych jak śnieg, poprzez szpakowate, aż do niesfornych blond, brązowych i czarnych czupryn. I głosy ich były różne: niektóre zmatowiałe, stłumione podeszłym wiekiem, inne — młode, zawadiackie... Ale w tych wszystkich głosach brzmiał jeden ton wspólny — i bez względu na wiek — namiętny: dźwięczała w nim ta sama nuta miłości do gór.

To najstarsi polscy alpinści wraz ze ewymi najmłodszymi kolegami gorąco radzili nad przyszłością naszego alpinizmu. Nestorzy — przekazywali pałeczkę sztafety najmłodszym. I to jest ciągłość tradycji.

Tadycje, jak wiadomo, bywają różne: dobre i złe, postępowe i wsteczne. Przez cały czas istnienia Towarzystwa Tatrzańskiego, czyli od roku 1873 niemal po dzień dzisiejszy te dwie tradycje walczyły ze sobą — i — można to śmiało powiedzieć — wśród prawdziwych ludzi gór zwyciężały zawsze postępowe.

Wiele pisano o tym: kto i dlaczego chodził po górach?

I chociaż niektórzy z „ideologów” taternictwa twierdzili, że „taternictwa nie da się spoczętnie ani zorganizować, ani eksploatować, pozostanie ono zawsze czynnością, wykonywaną indywidualnie i od indywidualnej woli jednostki zależną...”, albo też traktowali chodzenie po górach jako ucieczkę od życia i rzeczywistości, mówiąc o „roztopieniu się we wszechistnieniu, powrocie do niebytu” itd — to pamiętać należy, że prekursorem polskiego taternictwa był nie kto inny niż Stanisław Staszic — jedna z czołowych postaci Oświecenia — który, wędrując po Tatrach w celach naukowych i badawczych, noc całą spędził na szczycie Łomnicy. Od tej nocy mija już 150 lat!

Pamiętajmy, że konspirował u podnóża Tatr po powstaniu listopadowym, zwiedzał je i opisywał — wróg panów a przyjaciel ludu, jeden z najbardziej ówczesnie postępowych romantyków rewolucyjnych, Seweryn Goszczyński. Ze ścieżki i szczyty tatrzańskie,

wielkie laboratorium przyrody, niejednemu badaczowi otwierały oczy na zagadnienia zmienności form przyrody. Ze już przy zakładaniu Towarzystwa Tatrzańskiego wybuchła spór między „arystokratami” a „demokratami”, zakończony zwycięstwem demokratów (chodziło o nazwę Towarzystwa, które arystokraci chcieli nazwać „Galicyjskim”). Ze gorącymi zwolennikami taternictwa i alpinizmu byli tacy ludzie, jak wybitny fizyk i filozof materialistyczny, jeden z najwszechstronniejszych „ludzi gór” i wspaniałych sportowców — Marian Smoluchowski, jak jeden z przywódców międzynarodowego proletariatu, autor „Listów o Tatrach” — Julian Marchlewski, który pisał: „Kocham Tatry namiętnie, ponieważ mnie tego nauczyły”, ganit „po wygodnych ścieżkach gnuśne leniuchy” i chwalił „rozkosz wdzierania się na turnie”.

I wreszcie — największe nazwisko, z Tatrami związane: Lenin. Na długim szlaku wycieczkowym, wiodącym przez najpiękniejsze części Tatr, obok zwykłych znaków, wskazujących drogę, widnieją małe czerwone gwiazdki, znaczące Szlak Lenina.

Ciekawe: żaden inny sport nie był w Polsce tak bardzo ulubiony przez działaczy i artystów postępowych jak taternictwo, żadne inne miejsce nie przyciągało ich z taką siłą jak Tatry. Ze znajdującej się na Antałówce „Gospody Włóczęgów”, w której gromadzili się stale członkowie KPP i lewicy PPS-u — wyruszał na górskie wędrowki obok wybitnego taternika, Mieczysława Szczuki, jeden z największych polskich poetów współczesnych Władysław Broniewski, znany pisarz Stanisław Wygodzki i wielu innych.

150 lat liczy więc sobie polskie taternictwo — a 25 ostatnich lat zaznaczyło się szeregiem ogromnych sukcesów, osiągniętych przez naszych alpinistów. Poznawano coraz to nowe i śmielsze drogi, zdobywano coraz to groźniejsze urwiska i granie, uchodzące dawniej za niedostępne.

I nie tylko w Tatrach. To polscy alpinści zdobyli drugi, trzeci i czwarty co do wysokości (nie licząc wielu innych) szczyty Południowej Ameryki podczas obu wypraw andyjskich. To oni zdobyli w Himalajach szczyty (wówczas) co do wysokości szczyt świata, który osiągnął człowiek. To oni atakowali zwycięsko szczyty Atlasu, Ruwenzori, Szpicbergenu i Alp. Oni wreszcie nawiazali pierwsze nici przyjaźni z alpinistami radzieckimi w górach Kaukazu. Te wyprawy postawiły polski sport wysokogórski w rzędzie przodujących na świecie. Chyba w żadnej dziedzinie sportu nie mieliśmy w tym czasie takich sukcesów, jak w alpinizmie.

...BA, ALE...

Tu właśnie zaczynają się „ale”. Osiągnięcia były duże — ale na jakże wąskiej i wątlej opartej bazie! Te wszystkie wspaniałe wyczyny dokonywane były przez garstkę — dosłownie garstkę — młodych ludzi. Trzon naszej ekipy wysokogórskiej stanowiła kilkunastoosobowa grupa inteligencji pracującej i studentów. Napływ nowych adeptów taternictwa był wąty i nikły. Nieliczni amatorzy górskiego sportu przez cały rok ciułałi z trudem groszaki i złotówki, by czas wolny od pracy spędzić w Tatrach. To zresztą było łatwiejsze.

Ale jakiej przemysłowości, sprytu i zdolności „kombinowania” wymagało zorganizowanie każdej wyprawy poza granice kraju! Młodzi alpinści np. korzyścili z poparcia prywatnych firm i wytwórni, zaopatrujących wyprawę w taki czy inny sprzęt, ekwipunek lub żywność, oczywiście pod warunkiem robienia firmie odpowiedniej reklamy. Zawierali umowy z prasą na dostarczanie materiałów, składając gotówkę do wspólnej kasy. „Kokietowali” różne instytucje i prywatnych, zamożnych ludzi, aby udzielali finansowego poparcia. Główną jednak bazę finansową wypraw stanowiły — i to trzeba podkreślić — skromne, 50-groszowe extra-składki, którymi opodatkowywali się wszyscy członkowie PTT, tworząc stały „Fundusz Alpinistyczny”. W ten sposób umożliwiali kilku kolegom wyprawy, mające rozślawić imię Polski w szerokim świecie...

Tak było w międzywojennym dwudziestoleciu.

Po wyzwoleniu — rozpoczęła się praca nad zmontowaniem na nowo polskiego taternictwa. Po raz pierwszy w historii polskiego alpinizmu zaczęto organizować tak wiele kursów szkoleniowych, w których — również po raz pierwszy, choć ciągle jeszcze zbyt mało — licznie brać zaczęli udział robotnicy. Fakt, że w czasie trwania tych kursów nie było niemal wypadków, należy przypisać dużemu wzrostowi poziomu techniki wspinaczkowej.

W ostatnim okresie czołówka osiągnęła, a niejednokrotnie i przewyższyła najlepszy poziom z lat międzywojennych — z tym jednak, że dziś czołówka nasza jest kilkakrotnie liczniejsza. Skrócono czasy wielu przejść dzięki podwyższeniu poziomu technicznego i stosowaniu nowoczesnej techniki skalnej. Rozwinęła się na dużą skalę nowa gałąź taternictwa, wymagająca dużej sprawności organizacyjnej i technicznej przy wielodniowych wyprawach pod ziemią: taternictwo jaskiniowe.

Z roku na rok postępy były większe, a ostatnie dwa sezony zimowe 1952-3 i 1954 należą do najlepszych naszych sezonów w ogóle: osiągnięte wspaniałe wyniki pozwalają sądzić, że niedługo i w górach lodowo-śnieżnych rasi alpinści będą mogli mieć świetne rezultaty.

CZY WSZYSTKO JEST JUŻ DOBRZE?

Tak więc zdawało się, że w powojennym dziesięcioleciu wszystko idzie ku lepszemu. Czy rzeczywiście wszystko? Podczas Krajowej Rady w schronisku na Chochołowskiej padały głosy o niedoścignięciu taternictwa za rozwojem życia całego społeczeństwa. Dlaczego? I technika była przecież lepsza, i kadry poważnie wzrosły. Dlaczego więc, choć było tak dobrze — jednocześnie bywało i źle?

Oczywiście — było wiele kłopotów i niedociągnięć organizacyjnych i reorganizacyjnych: nie jest sprawą łatwą zmienić bardzo specjalną strukturę nie-licznego stowarzyszenia, jakim był daw-

ny Klub Wysokogórski, na organizację dziesięciokrotnie liczniejszej kadry, rozsianej po całym kraju. Trzeba było regulować stosunki, obowiązki i uprawnienia, a co najważniejsze — zagwarantować stopniowe przechodzenie od dróg łatwiejszych do coraz to trudniejszych, co jest nieodzownym warunkiem bezpieczeństwa taternickiej młodzieży. Jasne, że trudności były jednym z zasadniczych powodów, dla których nowa, poszerzona baza nie została dotąd należycie wyzyskana.

Wydaje się jednak, że równie istotnym powodem były zaniedbania natury wychowawczej. Miara przeobrażeń polskiego alpinizmu jest przecież nie tylko zwiększona liczba taterników, nie tylko ich świetny poziom techniczny, ale — przede wszystkim — oblicze ideowe naszego taternictwa.

Świadomość tych zadań narastała jak dotąd zbyt powolnie w niektórych ośrodkach taternickich.

Jakie zmiany przyniosła w istniejącym dotąd stanie Krajowa Rada Aktywu Taternickiego? Między innymi — dużym krokiem naprzód w sprawach związanych z wychowaniem, było przygotowanie na Radę wydawnictwa „Góry Wyższe”, w którym przedstawiciel sekcji krakowskiej, stawiając nowy program taternictwa, pisał:

„Seksja... musi postawić przed sobą jako naczelną główne zadanie: wychowanie czołwieka. Bez tego całe taternictwo nie warte jest zlamanego szelaga, nie warte jest starań i pomocy państwa. Bez tego nie mamy prawa nazywać się socjalistycznym taternictwem i sądzić, że nie mamy prawa patrzeć w oczy uczciwym ludziom, którzy ciężko wypracują dla nas chwile radości i wytchnienia w Tatrach”.

NA NOWYCH DROGACH

A w sprawach organizacyjnych?

Utworzenie na zjeździe na nowych podstawach Sekcji Alpinistycznej daje naszym taternikom takie możliwości rozwojowe, o jakich nigdy nie mogli nawet marzyć.

Sekcja rozpoczęła działalność — z jednej strony w oparciu o PTTK, jako sekcja tej organizacji, z drugiej zaś — otrzymała powiązanie z GKKF poprzez nadanie jej uprawnień sekcji sportowej GKKF.

Niewątpliwym błęd popełniali ci, którzy, widząc w taternictwie tylko wąsko pojęty sport, pragnęli rozzerwać łączność Sekcji Alpinistycznej z PTTK. Nie doceniali oni wartości cennych tradycji, które PTTK, mimo wszystkie popelniane błędy, „oddziedziczyło” przecież po Polskim Towarzystwie Tatrzańskim. Nie doceniali wreszcie roli i wagi zagadnień krajoznawczych w taternictwie.

Niewątpliwym błędem było jednak również i dostrzeganie w taternictwie tylko odmiany, a nie korony turystyki górskiej, niewprowadzenie dotąd w taternictwie ujęć organizacyjnych sportu, jak np. klasyfikacji sportowej.

Dokończenie na str. 22

DWA LISTY



PIERWSZY nosi datę 14 sierpnia r.b. Brzmi on, w obszernych wyjątkach, jak następuje:

Piszę do Was ten list pod wrażeniem odczytanej dziś w prasie wiadomości o zdradzie Panufnika.

Sprawę tę widzę tak:

Jest nam dziś jeszcze ciężko. Czasem bardzo ciężko. W okresie większych wydatków, np. przed zimą, kiedy i odzież trzeba uzupełnić, i o opale pomyśleć itd., przeżywamy niejedną chwilę troski i zmartwienia.

Ale olbrzymia większość ludzi pracy wie, że tak być musi w okresie, gdy budujemy całą Polskę na nowo, gdy budujemy gigantyczny przemysł, przekształcamy rolnictwo, podnosimy z gruzów miasta i wsie.

Nie jest lekko — o nie. Trzeba ciężko i wytrwale pracować w niełatwych jeszcze warunkach materialnych, by zapewnić spokojną przyszłość nam samym, a piękne i jasne życie naszym dzieciom i wnukom.

Coraz więcej ludzi w Polsce widzi już jednak wyraźne rezultaty naszego wysiłku i coraz częściej spożywa owoce swej pracy.

Ja sam jeszcze 8 miesięcy temu mieszkalem w ciasnym, zagęszczonym lokalu, a dziś mam ładne, nowoczesne mieszkanko dla siebie i swej rodziny. Mój syn jest studentem politechniki, a córka niedługo pójdzie na uniwersytet, o czym nigdy w swych planach życiowych nie myślałem.

Nasz ustrój dał mi dumę i pewność siebie, usztynił mój kark. Z małego, zahukanego urzędniczka, drżącego przed każdym przełożonym w obawie przed redukcją, bezrobociem i głodem, stałem się wolnym człowiekiem. W swym kraju nie boję się nikogo i niczego. Nie wszyscy to jeszcze rozumieją.

Dlatego, gdy zdradzi Polskę mały, szary, głupi człowiek, możemy to zrozumieć. Gdy ucieknie do Anglii mały złodziejasek, gdy przekracza granicę dawny granatowy policjant, oficer dwójki, obszarnek czy kapitalista, to jest to rzecz naturalna i logiczna.

Zdrada ze strony jednego z artystów jest zdradą podwójną i najpodlejszą, jaką sobie wyobrazić można: i w stosunku do Ojczyzny, i w stosunku do wszystkich ludzi pracy, którzy złożyli się na to, by twórcy zapewnić warunki dobre, nieco na wyrost w obecnym etapie.

Powiecie, Towarzyszu: „Dobrze, to wszystko słuszne, ale czego ten człowiek chce ode mnie?” Jestem po prostu Waszym czytelnikiem.

Umieliście zawsze w swych felietonach utrafić w sedno. Napiętnować to, co najbardziej wymagało napiętnowania, uwypuklić najważniejszy moment tygodnia, schłostać aktualną podłość czy głupotę.

Zdrajcę trzeba napiętnować, otoczyć pogardą — to jest Wasz, Towarzyszu, i Waszych kolegów obowiązek.

Ja jestem księgowym, nie umiem tego zrobić. Zresztą, potępienie winno wyjść spośród grona polskiej inteligencji twórczej, polskich naukowców, literatów i artystów. Tak mi się zdaje.

Cześć Towarzyszu — wybaczcie, że Wam zawracam głowę, ale porządnie mnie ten wypadek zdenerwował.

DRUGI list napisano cztery dni później, 18 sierpnia. Jego treść jest następująca:

Dwa artykuły pana Andrzeja Panufnika, ogłoszone na Waszych łamach w dniach 12 i 13 sierpnia, reprezentują punkt widzenia, który słyszy się często od Polaków z inteligencji i z klas średnich, którzy zamieszkali w naszym kraju. Jednakowoż, o ile może o tym świadczyć moje doświadczenie, poglądy te nie są podzielane przez dużą większość polskich uczonych.

Spędziłem blisko sześć miesięcy w Polsce przed samą wojną, a ubiegłego września na skutek uprzejmego zaproszenia brałem udział w VIII Kongresie Polskich Matematyków w Warszawie. Moje pierwsze wrażenie podczas powtórnego pobytu w Warszawie to otucha i pełnia nadziei, zaobserwowane w postawie zwykłych ludzi na ulicy, które kontrastowały wybitnie z ogólną atmosferą przygnębienia i bezrobocia, panujących w roku 1938. Moim przyjemnym doświadczeniem było ponowne spotkanie z kilkoma spośród matematyków, których znałem sprzed wojny, i odbycie z nimi wielu bardzo interesujących rozmów. Te rozmowy były całkowicie swobodne i nie mam żadnych wątpliwości, że moi koledzy polscy mówili zupełnie tak swobodnie, jak to robi teraz pan Panufnik.

Przed wojną wkład Polski do czystej matematyki był wybitny. Podczas wojny pięćdziesięciu czterech polskich matematyków zginęło, większość z nich z rąk gestapo. Wszystkie powojenne osiągnięcia Polski należy ocenić na tle tego ponurego tła tragedii i zniszczenia, które będą się dawały odczuć jeszcze przez długi czas. Pomimo to ogromne wysiłki zostały poczynione, ażeby odbudować polską naukę i kulturę, i spotkałem wielu ludzi, którzy entuzjasmowali się pomocą udzieloną przez rząd.

Nie znalazłem na pewno oznak „politycznego kierowania” badaniami naukowymi. Niewątpliwie inteligencja pracuje bardzo ciężko i materialnie, być może, nie powodzi się tym ludziom tak dobrze, jak ich kolegom w Wielkiej Brytanii. Lecz co wywarło na mnie największe wrażenie, to energia ich działalności twórczej, która, w każdym bądź razie na polu czystej matematyki, z pewnością nie ustępuje naszej własnej.

Autorzy tych dwóch listów nie znają się, są ludźmi różnych zawodów, ba! różnych narodowości, nie znają prawdopodobnie wzajemnie swych języków, mieszkają na dwóch krańcach Europy. Autorem pierwszego jest Polak — Adam Hirsler, zamieszkały w Warszawie przy ul. Wiktorskiej 86. Autorem drugiego jest Anglik, uczony angielski — A. Offord, zamieszkały w miejscowości Pinner (Middlesex), 69 Hill Road. Pierwszy list został skierowany do redakcji „Świata”, do autora jego kronik tygodniowych. Drugi — do redaktora dziennika „Times”.

Cóż więcej powiedzieć można o tak zwanej „sprawie Panufnika”? Cóż bardziej i mocniej może potępić tę zdradę, jak ta zbieżność myśli Polaka i Anglika, którzy, patrząc na tę samą dzisiejszą polską rzeczywistość z różnych punktów widzenia swoich zawodów, zamiłowań, przyzwyczajzeń, doszli, nie porozumiewając się ze sobą, do tych samych wniosków?

Dwa te listy rzucają pełne światło na ucieczkę Andrzeja Panufnika. Nie jest to ucieczka do jakiegoś wspaniałego i wolnego świata. W istocie jest to ucieczka od wspaniałego dnia dzisiejszego Ojczyzny. Jest to nie tylko zdrada. To wyraz głupoty i małości człowieka, który nie umiał i nie chciał sprostać zadaniom, jakie przed nim postawił własny naród.

ZBIGNIEW MITZNER

SZCZYT



FOTO

KORRESPONDENCI DONOSZA

W STYCZNIU — PIERWSZY KONCERT

Czerwiec 1953 roku — rozbórka zburzonych murów; wrzesień 1953 r. — początek budowy nowych murów; lipiec 1954 r. — wykończenie budynku w stanie surowym i przekazanie do robót wykończeniowych; styczeń 1955 roku — oddanie gotowego gmachu do użytku.

Tak w skrócie wygląda harmonogram budowy nowego gmachu Filharmonii Warszawskiej projektu prof. inż. Szparkowskiego i inż. Białobrzęskiego.

Wielki ten budynek o ogólnej kubaturze 68 tys. m. sześć, pomieści dwie sale koncertowe — jedną dużą i

Przy budowie Filharmonii pracują dwie grupy murarskie: pierwsza — Józefa Piwowarczyka, która „gra tu pierwsze skrzypce”, i druga — jego uczniów „pod batutą” Kazimierza Koszelaka. Wszyscy oni, jak również betoniarze W. Pełka i G. Szkabar, pracują tu od samego początku. Oni to zakładali fundamenty, oni kładli pierwsze metry murów, oni zakładali stropy, w ich oczach rósł nowy, wielki gmach. Znajdą do-
kładnie plan całej budowy i każdy jej szczegół, żyłi się z nią tak, jak żył się człowiek ze swoim dziełem.



Młodzież z zainteresowaniem czyta pisma

I LUBLIN SIĘ DOCZekał...

Lublin doczekał się wreszcie nowoczesnego Klubu Młodzieżowego Prasy i Książki. W ciągu kilku tygodni dźwignięto z ruin i urządzono przyjemne i wygodne wnętrza, które mieści dwie sale przeznaczone na czytelnictwo i księgarnię. Miękkie fotele, estetyczne stoliki, firanki w oknach, tłumienie odgłosów kroków chodników — wszystko to zachęca do wejścia, obiecuje wygodę i odpoczynek przy lekturze.

Klub zaopatrzony jest w liczne czasopisma krajowe i zagraniczne w językach: polskim, rosyjskim, niemieckim, angielskim, francuskim, włoskim i czeskim.

Poza tym można tu będzie już wkrótce wysłuchać odczytu czy prelekcji ilustrowanej przezroczkami, obejrzeć film naukowy. Wkrótce czynne będą również kursy języków obcych.

W tej chwili Klub odwiedza ponad 250 osób dziennie.

Księgarnia obok czytelnicy posiada duży wybór książek i czasopism w różnych językach i cieszy się ogromnym powodzeniem wśród mieszkańców Lublina, którzy po książkach i pismach obcojęzycznych musieli poprzednio jeździć aż do Warszawy.

M. Górewicz, Lublin

ODRODZENIE NA ESTRADZIE W POZNANIU

Pragnąc zapoznać jak najszerszy ogół społeczeństwa z bogatą tradycją muzyki, pieśni i tańca okresu Odrodzenia — Państwowa Filharmonia w Poznaniu utworzyła przed rokiem Studio Dawnej Muzyki Pieśni i Tańca.

Repertuar artystyczny Studia, poza utworami muzycznymi, wokalnymi i tańcem, obejmuje również recytacje poetyckie i w ten sposób daje pełniejszy obraz kultury i sztuki owego okresu.

Utworzenie Studia nie było przewidziane w planie Wydziału Kultury i Sztuki, nie więc dziwnego, że napotykało ono na różne trudności. Dzięki jednak ofiarnej pomocy Filharmonii Poznań-

skiej pożyteczna placówka rozwija się pomyślnie i cieszy się dużą popularnością wśród mieszkańców Poznania.

Dotychczas koncerty Studia związane były z okresem Odrodzenia polskiego. Obecnie ma ono zamiar rozszerzyć swój repertuar i na sztukę innych narodów z tego okresu oraz zorganizować sekcję dramatyczną, która wprowadzi na estradę komedię socjalistyczną, połączoną z elementami muzycznymi.

Studio ma też zamiar nawiązać kontakt z terenem, a przede wszystkim z zespołami świetlicowymi.

Zd. Okuniewski, Poznań
fot. M. Myszkowski

WIEJSZY ŁUCZNICY

Na XVIII Łuczniczych Mistrzostwach Polski, które odbyły się w sierpniu br. we Wrocławiu, po raz pierwszy startowali przedstawiciele wsi.

Cztery drużyny męskie i dwie łuczniczek spisały się nadspodziewanie dobrze. Mimo groźnych przeciwników — czołowych łuczników kraju — w konkurencji kobiecej G. Nawrot zajęła w ogólnej punktacji 13 miejsce, a D. Michalczyk w konkurencji męskiej — 12 miejsce.

W klasyfikacji zrzeszeń sportowych LZS-y zdobyły zaszczytne 3 miejsce za „Ogniem” i „Kolejarzem”, wyprzedzając „Spójnię”, „Unię”, „Włókniarzy”, „Budowlanych”, „Stal” i „Start”.

Ten pierwszy pomyślny start młodych łuczników wiejskich dał im wiele doświadczeń, zachęcił do dalszej pracy i przekonał, że LZS-y mają duże możliwości rozwoju tego sportu. Rada Główna LZS powinna tylko młodzieży wiejskiej dać więcej dobrego sprzętu i zapewnić systematyczną opiekę trenerską.

T. Czabański, W-wa

KLARA PRILLOWA — LUDOWA RZEŹBIARKA



Pracownia rzeźbiarska Klary Prillowej w Kcyni (pow. Szubini) jest ulubionym miejscem spotkań dzieci i młodzieży. Chętnie tu przesiadują po skończonych lekcjach, by przyglądać się, jak ręce rzeźbiarki wyczarowują w glinie piękne figuлки i by pod jej kierunkiem uczyć się rzeźbić.

Klara Prillowa prowadzi bowiem w Kcyni ośrodek plastycznego szkolenia dzieci i młodzieży, przekazując im swoje umiejętności i doświadczenia i rozwijając w nich zdolności artystyczne.

Artystka dumna jest ze swych osiągnięć pedagogicznych. W ciągu kilku lat pracy w ośrodku udało się jej wyłowić sporo talentów; na wystawie samorodnej sztuki ludowej w Szubinie 25 dzieł

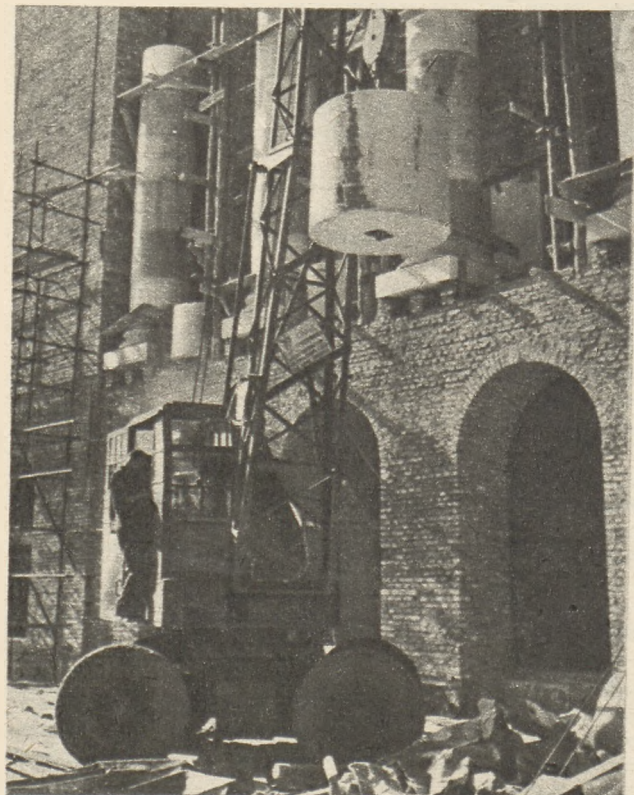
z jej ośrodka otrzymało przed dwoma laty nagrody. W tym roku prace Prillowej i jej najzdolniejszych uczniów oglądać można w Muzeum Toruńskim.

Ponadto Klara Prillowa prowadzi zajęcia świetlicowe w liceum ogólnokształcącym i jest aktywna w pracy społecznej.

Opieka i pomoc Ministerstwa Kultury — jak sama stwierdziła — ułatwiają jej dalszy rozwój artystyczny.

Ciekawe i piękne rzeźby Klary Prillowej, utrwalające folklor ziem pałuckiej, powinny zawędrować również i do sklepów CPLiA. Znalazłyby na pewno wielu amatorów.

G. Czerwiński, Mosina
fot. K. Przychodźki



drugą mniejszą, kameralną — a poza tym wygodne garderoby dla artystów i dyrygentów, szatnie, obszerne poczekalnie dla publiczności oraz piękną, o lustrzanych ścianach palarnię. Sale Filharmonii ogrzewać będzie elektrociepłownia żerańska. Przewody centralnego ogrzewania są już przeprowadzone.

Jak dotychczas załoga nie zawiodła; wszystkie prace przebiegają zgodnie z harmonogramem. Trzeba jednak pamiętać, że czas leci szybko i że zanim się spostrzeżemy nadejdzie dziesiąta rocznica wyzwolenia Warszawy i dzień pierwszego koncertu w nowej Filharmonii.

C. Rybicka, W-wa

TOWAR JEDZIE NA WIEŚ

Gdy w miasteczku pojawi się wielki srebrnoszary samochód, rozbrzmiewający skoczniejszą melodią z głośnika — go spodnie wiedzą, że prócz zwykłych zakupów na targu, można będzie jeszcze nabyć wozorzystą tkaninę, ładną sukienkę lub eleganckie obuwie.

Ruchome Punkty Sprzedaży hurtowni WZGS - Lublin odwiedzają zresztą nie tylko miasteczka i osady w dniu targowe, ale również PGR-y, POM-y, spółdzielnie produkcyjne i wsie indywidualne Lubelszczyzny.

O korzyściach, jakie daje ludności wiejskiej ten rodzaj handlu, nie trzeba chyba pisać. Atrakcyjne towary tek-

stylne docierają do najbardziej zapadłych zakątków województwa w tym samym czasie co i do sklepów w dużych miastach. Towar bowiem po nadejściu z fabryki do hurtowni w Lublinie dociera za pośrednictwem ruchomego handlu wprost do klienta, omijając długą procedurę rozprowadzania do sklepów gminnych spółdzielni.

Ruchome sklepy, zaopatrywane w duży wybór i w dobre gatunki tekstyliów, galanterii, odzieży gotowej i obuwia — są nader mile widziane przez ludność wiejską.

F. Pruszcak, Biała Podlaska
„Fot. Zorza”



FOTOGRAFIA NA CODZIEŃ

NOWOŚCI WYDAWNICZE

Głód lektury fotograficznej w znacznej mierze został już zaspokojony. Sklepy „Domu Książki” sprzedają dziesiątki tysięcy podręczników fotograficznych. Ostatnio pojawiły się na wystawach, oprócz wznowionej książki R. Burzyńskiego, dwie pozycje z cyklu popularnej „Biblioteki Fotoamatora” wydawanej przez Filmową Agencję Wydawniczą: „Jak fotografować” T. Cypriana i „Fotografia krajoznawcza” E. Falkowskiego.

Pierwsza z tych książeczek, pióra popularnego autora licznych podręczników fotograficznych, daje przystępne wskazówki ogólne dla początkujących, poczynając od wyboru aparatu, poprzez technikę różnych rodzajów zdjęć, aż do kompozycji i wykończania gotowych fotografii. W ramach skromnej, lecz estetycznie i przejrzysto wydanej broszurki — jest wiele treści nieodzownej dla każdego fotomatora, stawiającego pierwsze kroki.

„Fotografia krajoznawcza” znanego fotografa E. Falkowskiego, omawia treść, cele i zadania tej bogatej dziedziny fotografii, podaje ogólne zasady kompozycji, tematykę, wskazówki techniczne w poszczególnych jej grupach, a wreszcie wybór sprzętu. Cenną i pożyteczną część książeczki stanowi dział ilustracji, zawierający, oprócz starannie dobranych i dobrze reprodukowanych zdjęć autora, również i wartościowe ich omówienie, dane techniczne i uwagi o kompozycji. W ten sposób czytelnik uczy się wiele na przykładach odpowiednio zestawionych i skomentowanych.

Zatować trzeba, iż Książeczka Falkowskiego nie została wydana wcześniej, przed rozpoczęciem okresu wczasów. Wielu bowiem fotomatorów skorzystałoby z rad i wskazówek na temat fotografii krajoznawczej.

W ramach „Biblioteki Fotoamatora” ukazała się w najbliższej przyszłości dalsze tomiki: „Proces negatywowy” S. Sommera, omawiający zagadnienia związane z obróbką negatywu fotograficznego, „Proces pozytywowy” tegoż autora, poświęcony technice i technologii obróbki laboratoryjnej pozytywów, „Fotografia portretowa” Z. Dłubaka oraz „A teraz barwnie” A. Voellnagela, uprzedzająca zagadnienia fotografii barwnej.

Z większych prac fotograficznych zapowiedziane jest przez Filmową Agencję Wydawniczą obszerne „Vademecum fotografa” W. Dederki i S. Sommera, zawierające wyczerpujący zbiór wiadomości z dziedziny teorii i praktyki fotograficznej. Również wkrótce ukaże się obszerna praca inż. Eugeniusza Szmidtgała na temat konstrukcji i obsługi aparatu fotograficznego, drugie wydanie podręcznika Z. Pękostawskiego pt. „Z fotografii na ty” oraz wznowienie podręcznika T. Cypriana — „Fotografia — technika — technologia”.

Niestety, dotychczas żadna z instytucji wydawniczych nie zapowiedziała pracy poświęconej zagadnieniom estetyki w fotografii. Po wojnie nie ukazała się ani jedna pozycja w tej dziedzinie, a przedwojenne książki prof. J. Bułhaka na ten temat są dawno wyczerpane. Należałoby więc zastanowić się nad możliwością wznowienia w całości lub w całości, czy też łącznego opracowania jego dzieł, jak „Estetyka światła”, „Fotografika”, „Bromografika” i „Technika bromowa”.

ZIEMIA SERDECZNIE ZNAJOMA

LEŻY przede mną książka, starannie wydana przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik”, z naiwnie wruszającym rysunkiem na obwolucie, będącym reprodukcją mazurskiej sztuki ludowej. „Ziemia serdecznie znajoma” — trudno o tytuł trafniejszy niż ten, zaczerpnięty z wiersza Aleksandra Rymkiewicza:

„Piękna ziemia mazurska, serdecznie znajoma,
jakbyś była ziemią rodzinnego domu...
przecież nie twe w młodości znałem
wrzosowiska,
skądże, ziemia mazurska, stałaś mi się
bliska?”

Mazury — ziemia jezior, pofalowana wzgórzami, obrzeżona ciemniejszymi na horyzoncie lasami, ziemia legendarnego Smętka — w pierwszych latach po wyzwoleniu stała się prawie wyłączną domeną żeglarzy i kajakowców, turystów i wycieczkowiczów. Na Mazury wybierano się tylko latem, nie szukano kontaktu z mieszkańcami: ot, przyjechał turysta, popływał po jeziorze Śniardwy czy Beldan, zapakował plecak i wrócił do miasta, obojętny na sprawy miejscowe. A przecież ta ziemia wróciła do nas po latach ucisku i niewoli, jeszcze obolała od zaznanych krzywd, jeszcze pełna gorzkości od niewypowiedzianych uraz, rozjątrzona od nowych konfliktów, podmięta rozbijającą robotą podżegaczy z zachodnich Niemiec.

Mazur i Warmiak zrozumieli dzisiaj, że u podstaw zawężonych niekiedy dramatycznie spraw mazurskich leży zresztą nie często zamaskowana walka klasowa. Odbicie czołowych zagadnień, nurtujących wiesz mazurską znajdziemy w kilku opowiadaniach, reprezentujących prozę w antologii „Ziemia serdecznie znajoma”. Na pierwszy plan wysuwają się dwa opowiadania: Seweryny Szmaglewskiej „Cicha wieś na brzegu puszczy” — (fragmenty tego opowiadania drukowane były w „Świecie”) — i zakrojone prawie na powieść opowiadanie Stanisława Kowalewskiego „Kiedy mija noc”. Obojgu tym autorom należy się uznanie za śmiałość w poruszaniu trudnej problematyki ziemi mazurskiej. Szmaglewska nie cofa się przed ukazaniem działalności wrogich Polsce elementów, rekrutujących się z wychowanków byłych organizacji hitlerowskich. Na tle autentycznego procesu Joachima Schaaka, który mieszkał stale w powiecie mrągowskim, pięciokrotnie przeszedł z Berlina zachodniego do Polski i z powrotem w celach szpiegowskich i dywersyjnych, snuje Szmaglewska opowiadanie o nikczemnej robocie usiłującej drążyć nasze Ziemię Odzyskaną od wewnątrz, bez ostrości ukazując dramatyzm tej walki, podsycanej przez niedobitki hitlerizmu. To wstrząsające opowiadanie obnaża zgniłe korzenie wrogiej roboty i bez komentarza, samą wymową faktów, działa na czytelnika najsukuteczniej.

Inny rodzaj dywersji pokazuje Stanisław Kowalewski: zwarty front kulał, usiłujących na każdym odcinku pracy Państwowych Gospodarstw Rolnych sabotować, wykpiwać, siać zwątpienie, strzelać z za węgla, wszelkimi środkami rozsadać twórczą, scalającą pracę od wewnątrz. Obydwa opowiadania kończą się tragicznie: ani Szmaglewska, ani Kowalewski nie idą na łatwiznę taniego happyendu, lecz i w jednym i w drugim utworze czuje się techniczne wiary w przyszłość, powiew krzepiącego optymizmu.

Przerzucam tę ślicznie ozdobioną inicjałami i przerwami książkę — dominuje w niej poezja. Z bezpośredniego kontaktu z ziemią mazurską powstał taki wspaniały, jak „Kronika olsztyńska” Gaietyńskiego, jak wruszające wiersze Karczewskiej, Kubiaka, Chroś-

cielewskiego, Sikiryckiego, Rymkiewicza, powstał piękny poemat Jastruna „Pieśń o Mazurach i Warmii”. Widać jak na dłoni, że w wielu wypadkach źródłem natchnień poetyckich była podjęta w roku 1952 przez Związek Literatów Polskich akcja wyjazdów w teren z wieczorami autorskimi. Wiersze — jak np. Bohdana Ostromięckiego „Małej w Somplacie” czy Gisgesa „Poranek autorski” — są wyraźnym pokwitowaniem wzruszeń, zrodzonych z osobistych przeżyć autorów, biorących w tej akcji udział.

Na marginesie tej książki niech mi wolno będzie sięgnąć i do własnych wspomnień.

Pierwszy wieczór na tej ziemi... Wyruszyliśmy samochodami z bazy w Mragowie do odległych wsi, rozrzuconych daleko od głównej szosy, jedziemy w różnych kierunkach, niepewni przyjęcia, z programem przygotowanym na chylbił trafili, trapieni niepokojem czy słuchacze w ogóle przyjdą... Przyszli. W małej salce szkolnej zebrała się prawie cała wieś. Przygotowany z góry program nie znalazł zastosowania. Potoczyła się swobodna gawęda — pierwszą lodą nieufności zostały przełamane. Skończyło się na odpiewaniu pieśni mazurskich przez miejscową ludność. A potem powrót do Mragowa — zlot gwiazdzisty rozsypany w terenie grup wyjazdowych, przy wspólnym stole w dużej sali gospody relacje przeplatane wykrzyknikami, radość z pierwszych sukcesów. Wymiana doświadczeń przemieniła się w długie nocne rozmowy. Maria Zientara, długoletnia działaczka regionalna, nauczycielka, niestrudzona bojownicza o polskości tej ziemi — przyjechała z narzęciem polnych kwiatów, które ofiarowano jej po występie autorskim. Siwiejąca, w czarnej sukni, jak gdyby wcielona w życie postać z powieści Orzeszkowej — Maria Zientarów- na recytuje nam z pamięci swe wiersze. Cześć z nich odnajduje w tym tomie „Wspomnienia z Ravensbrück”. Drogo kosztowała ją ta walka o polskości — lecz nie zdołał ugnąć jej niezłomnej siły hitlerowski najeźdźca... Nie zniżył także czoła przed wroga potęgą poetyckiego słowa, o którym pisze Japończyk, że „nosi osmy krzyż na głowie, ale krzepki, wesoły jak dziecko, twarz rumianną, a oczy emalią niebieską powleczone”. Michał Lenowski. Świeca te oczy z okularów roześmiane, gdy dziadzio Lengowski, z knutem piwa w ręku mimo przejmującego chłodu — dziarsko, silnym wciąż jeszcze głosem deklamuje nam swój wiersz o „Dwóch, co poszli na Żuławy”. Teofil Ruczyński, autor melodyjnego wiersza „Piękne są Mazury”. Alojzy Sliwa, również poeta, niestrudzony zbieracz pieśni mazurskiej i warmińskiej dr Władysław Gebik i jego uroczą córeczką Bogna, skrzypek Jan Lubomirski, młody akordeonista, student olsztyńskiej uczelni, chłopiec miejscowego pochodzenia Gustaw Nischk — wszyscy pomagali nam w naszej pracy, wspierali ją swym autorytetem i popularnością, w trudnych sytuacjach nieporadnego milczenia przerywali między zespołem a widownią wiążący pomost.

Uczyliśmy się siebie nawzajem — zaskarbiałymi sobie niełatwe zaufanie.

Jako dokument tych niezapomnianych spotkań mazurskich powstała książka „Ziemia serdecznie znajoma”. Książka ta ma podwójnego adresata: — edy trafi na Mazury i Warmię, będzie mówiła ludzdom tamtejszym nie tylko o niewysto- wionej piękności ich ziemi, ale o ich trudnych sprawach, które rozwiązywać będziemy już wspólnie. Gdy trafi do czytelnika z innych zakątków Polski, zapozna go z częścią wielkiej społeczności, której na imię Polska Rzeczpospolita Ludowa, zachęci do poznania krainy jezior i lasów i do współdziałania w zacieraniu brudzących tę ziemię tropów Smętka.

MARIA WISŁOWSKA



I swawolny Dyzio z „Lu-
dzi Bezdolnych” nie był po-

Księgi

W KTÓRYCH SIĘ ZAMYKAJĄ DAWNE PRZYPADKI ROZMAITE

WPIW-owskim cyklu dawnej literatury polskiej — po Kochanowskim, Trembeckim, Jezierskim, Potockim — kolej przysłała na „Literaturę mieszczańską w Polsce od końca XVI w. do końca XVII w.” Jest to pokazny dwutomowy wybór opracowany przez Kazimierza i Hannę Budzyków oraz Juliana Lewańskiego.

W wyborze przejrzystość układa się dwa nurty polskiej literatury mieszczańskiej: ugodowy, kompromisowy bogatego mieszczaństwa, kupców, jurystów miejskich i burmistrzów, oraz buntowniczy, plebejski żaków, skrybów i rybaltów.

Poczynające się od schyłku XVI stulecia i trwające poprzez wiek następny ograniczenia praw mieszczańskich, dyktowane przez szlachtę polityka cen i cel rujnuje gospodarczo porastające nie tak dawno w bogactwa, sławę i przywileje ośrodki miejskie w Polsce. Ten długotrwały proces ubożenia miast wyrzucił na bruk owych „frantów, marcholtów i młodych figlarzy, sowizralów, rzygulców, ba, i starych igrarzy”. Chwytały się oni rozmaitych profesji i zajęć, jak to czytamy w anonimowym wierszu:

Tom się tak poniewierał nie blizu na
świecie.
Chodziłem lada kędy tak zimie i lecie.
I tak mi się trafiło dobrze jednym czasem
Do królewskiego dworu, tamśm był
podczasem.

Kazano mi nalewać krowom we źrób wody
Tom się i sam napijał, zawsze były gody.
Polymech się jał uczyć grawać na kornecie.
Na polu za świniąmi, jako dobrze wiecie.
Tam sztuki wyprawował, chodzący za
stadem,

Tak w piątek jak w niedzielę, zawsze przed
obiadem.

Nuż mi w bębny miedziane kołatać kazano,
To mnie częściej po grzbiecie niż w bęben
pukano.

II.

W tomie pierwszym znalazły się w wyjątkach bądź w całości utwory postępowych pisarzy mieszczańskich. Są to w zasadzie rzeczy dostępne, skomentowane i wydane w osobnych tomikach przez Bibliotekę Narodową, ale ujęcie ich w jedną całość pozwala na uchwycenie ogólnego charakteru tej oficjalnej, opatrzonej nazwiskami autorów, literatury mieszczańskiej.

Fabiana Sebastiana Klonowica — mieszczanina może najbardziej uwikłanego w spłót przeciwieństw klasowych — reprezentują trzy utwory: „Flis, to jest

spuszczanie statków Wisłą i inszymi rzekami do niej przypadającymi”, fragmenty polskiego tłumaczenia „Victorii Deorum” i wreszcie „Worek Judaszów, to jest złe nabycie majątności”. W utworach tych godzi się wprawdzie Klonowicz na istnienie różnic stanowych, ale zdobywa się także na mocne akcenty krytyki wobec uprzywilejowanych.

Do typu poematów dydaktycznych należą jeszcze dwa utwory dwu innych pisarzy. Jeden z nich to wierszowana monografia Walentego Rożdżeńkiego „Oficina ferraria albo Huta i Warstat z Kuźniami Szlachetnego Dziela Żelaznego” (pierwotnie ukazał się w roku 1612). Zrąb utworu wyrasta z przeżyć i doświadczeń autora, który daje czytelnikowi obraz ówczesnego „żywota kuźniczego”.

Odmianą zupełnie tematyką zajmuje się poemat Adama Jarzębskiego — rzecz dla dziejów Warszawy pierwszorzędnej wagi. Otóż muzyk Jego Królewskiej Mości i Budowniczy Ujazdowski imię Adam Jarzębski stworzył pierwszy (wierszowany!) „przewodnik” po stolicy, wydany w roku 1643 pod tytułem „Gościniec albo krótkie opisanie Warszawy z okolicznościami jej”.

W tomie znajdujemy dalej utwory poetyckie Szymona Zimorowica i Szymona Szymonowica, a między nimi sielankę „Zeńcy” (Zamość, 1614), o której pisał Brückner.

III.

Drugi tom „Literatury mieszczańskiej w Polsce” to w przeważającej większości utwory anonimowe: liryki miłosne, społeczne, fraszki i satyra, komedie rybaltowskie, misteria i intermedia. Z obfitości tych materiałów zebranych w trzy grube tomy przez zmarłego już po wojnie prof. Karola Badeckiego, autorzy omawianego wydania wybrali utwory najbardziej reprezentatywne dla komedii rybaltowskiej („Wyprawa Plebańska”, „Albertus z wojny”), komedii sowizralskiej („Z chłopów król” Piotra Baryki), dla plebejskiej liryki społecznej i miłosnej („Minucie sowizralskiej”, „Pieśni i tańce zabawom uczciwym g’woli”). W anonimowych przeważnie utworach odbiła się nie tylko „plebejska miseria” zepchniętych na dno społeczeństwa wagańdów, nie tylko ich buntownicza ideologia, ale także bogaty obyczaj, rubaszny, jedyny żart, złośliwe strzały pod adresem możnych tego świata nieporównany, pogodny humor.

Tak więc dwa tomy „Literatury mieszczańskiej w Polsce” to księgi, w których się zamykają dawne przypadki rozmaite. A przypomnijmy sobie słowa Biernata z Lublina:

Którzyciem siedzą z księgami,
Nie mogą być nigdy sami.

RYSZARD WASITA

PAN RAWLISON I SWAWOLNY DYZIO

Zapewne nie zdziwi to Czytelnika, gdy się dowie, że główni bohaterowie „W pustyni i w puszczy” nie są postaciami zmyślonymi. Niejedna przecież powieść powstała na tle prawdziwego zdarzenia.

Tak było i w tym wypadku. Podróżując po Afryce Sienkiewicz poznał inżyniera, który kierował odcinkiem prac przy budowie Kanału Sueskiego. Córka inżyniera została naprawdę porwana przez mahdystów i uratowana przez młodego chłopca.

Tylko, że ojciec nie był Anglikiem, ale Polakiem. Nazywał się Mieczysław Gienjusz, był synem oficera, uczestnika powstania listopadowego. Piszący te słowa był małym chłopcem, kiedy poznał w kraju prototyp „pana Rawlisona”. Pamięta, że był wielkiego wzrostu, miał długą siwą brodę rozczesaną na boki i nosił binokle w złotej oprawie. Wśród ciepłego lata marzył, bo przyzwyczaił się do klimatu egipskiego, w którym przeżył przeszło 30 lat.

stacją zmyśloną. I uzdrowisko Cisy istnieje. Cisy — to po prostu Naleczów. Uzdrowisko Naleczów było prywatną własnością rodziny Małachowskich. Majątek Naleczów — należał do rodziny Górskich.

U tychże Górskich Żeromski jako młody student był korepetytorem. Przyszły wielki pisarz miał krzyż pański z dwoma urwisami, których powierzone jego pieczy.

Kiedy wychodził ze swojego pokoju, chłopcy wślizgiwali się tam ukradkiem, zamykali drzwi na klucz i wyciągali jego rękopisy. Kiedy nieszczerzy korepetytor chciał powrócić do siebie, zastawał drzwi zamknięte i słyszał tylko, jak chłopcy zaśmiewali się czytając i parodiując urywki jego utworów.

Walenie do drzwi i szarpanie klamką jeszcze bardziej pobudzało małych łobuzów do parodii i przedrzeźniania. Większego winowajcę Żeromski uwiecznił — wraz z karą, na którą Dyzio niewątpliwie zasłużył.

J. C.



„ŻYWY TRUP” W POZNANIU

ŻYWY TRUP, napisany przez Tolstoja na tle prawdziwego zdarzenia, dramat, który obiegł wszystkie sceny świata i do dziś się na nich utrzymuje, to nie tylko utwór sceniczny o interesującej fabule, wspaniale skonstruowany i świetnie napisany. Wielkość dramatu tkwi w tym, że był on wyzwaniem rzucanym w twarz zdegenerowanej, obumierającej klasie społecznej. Wyzwaniem tym śmielszym, że Tolstoj przeciwstawia ginącemu światu człowieka słabego, wykołajonego, alkoholika. Sympatie Tolstoja są całkowicie po stronie Protasowa. Nie dlatego, by go uważał za bohatera, ale dlatego, ponieważ patrzy nań, jakże słusznie, jako na produkt tej atmosfery moralnej, w której u schyłku ubiegłego stulecia dogorywał wraz z arystokracją rosyjskie mieszczaństwo.

Wystawianie „Żywego trupa” ma sens wtedy, kiedy poprzez wątek fabularny teatr potrafił ukazać, kto i jakie warunki są winne temu, że Fiedia Protasow porzuca dom i stacza się na dno. Niestety przedstawienie poznańskie, reżyserowane przez Aleksandra Gąsowskiego, grającego również rolę tytułową, ten właśnie moment uwypukliło najsłabiej. W rezultacie widowiska ma do czynienia z sensacyjną sztuką o posmaku krymi-

nalnym, natomiast siła oskarżycielska utworu gdzieś przepada. Gąsowski gra Protasowa prosto, bez patosu, ale nieco oschle. Rezultat jest taki, że jego Protasow jest nam za mało bliski i że w pewnych momentach część widowni sprzyja raczej tym, od których Protasow się odżegnywa, zamiast — bez czego następuje skrzywienie dramatu — być całym sercem właśnie z nim.

Niezależnie od tych zastrzeżeń — trzeba wyrazić się z uznaniem o dobrym i na ogół wyrównanym poziomie przedstawienia, przygotowanego pieczołowicie, starannie i z wielkim nakładem pracy.

Dekoracje pędzla Karola Frycza. O ile wnętrza mieszkania rodziny Protasowa nasuwają wątpliwości ze względu na nieuzasadnione i zbyt już prymitywne ubóstwo, o tyle scena końcowa, ukazująca przedsiódek sądowy w czasie rozprawy, jest swojego rodzaju arcydziełem. Aby na małej scenie dać rozwiązanie dekoracyjne o tak monumentalnym charakterze trzeba być mistrzem wysokiej klasy.

JACEK FRUHLING



„Żywy Trup” Tolstoja w Poznaniu. W roli Protasowa — A. Gąsowski, reżyser sztuki. Maszę gra Waškowska.

Stiepan Szczipaczew

* *

Wiatr porywisty nagle wionął
I kosmyk włosów z czoła zdmuchnął,
Dziewczecą niemal pierś, ramiona
I biodra w krąg oblepił suknią.
Kobieta stoi, gdzie się śliwy
I grusze liśćmi rozkipiały.
I wichur, zda się, jest szczęśliwy,
Ze rzeźbiarz z niego doskonały.

*

Morza i góry, w siwy szron odziane,
Trawa i drzewa, obłoki nad nimi —
Jakże mi drogie niewypowiedziane.
Oto — ostatnich strof nie dopisawszy,
Umre i od nich odejdę na zawsze...
Nie, nie odejdę — ja się stanę nimi.

*

Nazwij to, miła, jak ci się podoba,
Drożsi staliśmy się sobie oboje,
Czulej, troskliwiej kochamy się
z tobą.

Ale dlaczego tak się niepokoję?
Zaczęłam snom przypisywać zna-
czenie,

Często mrocznieję, nagle zadumany...
Widać, im w większej miłości mamy
cenie,

Tym silniej się o nią lękamy.

Nie widzą siebie przestrzenie zamg-
lone,
I — jasne, w wieczne otulone
chłody —

Nie widzą siebie góry ośnieżone
I nie ogląda kwiat swojej urody.
I dobrze wiedzieć że — czy idziesz
lasem,

Czy z góry schodzisz ścieżkami
krętymi —

Cała przyroda podziwia swą krasę
Twymi oczyma nienasyconymi.

Przel. JÓZEF WACZKÓW

MICHAŁ SWIETŁOW

PIEŚŃ O ZAMIECI

Śniegiem chaty zawiewa, zanosi,
nic nie widać, mrak ogarnął ziemię...
Zamieć wyje i żołnierza prosi:
„Pozwól, że na piersi twej podrzemię!

Długa jeszcze włóczęga przede mną,
będę krążyć po drogach bez końca...
Chcę odetchnąć, na chwilę się
zdrzemnąć,
ogrzać się pod sercem twym
gorącym!”.

Mówi do niej żołnierz, jak do druha:
„Kładź się, pośpij, jeśli ci tu ciepło.
Tylko we śnie nie warcz, zawierucho,
tylko moich sennych widzeń nie
płosz!”.

Ledwo doń się przytuliła zamieć —
księżyc ujrzał w rzeczce twarz swą
jasną,
zaświeciły chaty ognikami —
zamieć śpi, zmęczony żołnierz
zasnął...

Razem się o świecie przebudzili.
Szepcze zamieć do żołnierza: „Miły,
za twą dobroć będę od tej chwili
wierną tobie do samej mogiły!..

I oboje sobie zaśpiewamy,
jak przeszliśmy w bitwach naszą
ziemię,
jak rosyjską, sławną naszą zamieć
żołnierz doniósł do stolicy Niemiec!”.

1945

Przel. JÓZEF WACZKÓW

„BANIALUKA” O T R Z Y M A WŁASNY GMACH

PIERWSZY w Polsce specjalnie dla teatru lałkowego przeznaczony budynek otrzyma w roku bieżącym Bielsko-Biala. Będzie on stałą siedzibą Państwowego Teatru Lałkowego „Banaluka”. (Dyr. J. Zitzman, kierownik literacki L. Dutkiewicz). Teatr ten zasłużył na to wyróżnienie. Przez siedem lat wędrował po większych, mniejszych i małych miejscowościach województwa stalinogrodzkiego, krakowskiego i Dolnego Śląska, zaglądając czasem i do innych stron Polski. Zyskał sobie sympatię widzów nie tylko najmłodszych, ale i dorosłych. Dwukrotnie zdobył też pierwsze nagrody na ogólnokrajowych festiwalach teatrów kukielkowych.

„Banaluka” dba o repertuar i artystyczne wykonanie. Stara się o pozyskanie współpracy dobrych piosenkarzy, korzystając z utworów pisarzy radzieckich i czeskich. Na szczególną uwagę zasługują wystawione ostatnio „Kaprys królowej Marysieńki” piosenki Hanny Januszewskiej. Jest to fantazja oparta na „Pamiętnikach” Jana Chryzostoma Paska, a mówiąca o jego słynnej wydrze. Mamy tam i pałac w Wilanowie z królem Janem III, i królową Marysieńkę, i wleś pana Paska, a także różne zwierzęta, które wraz z wydrą są bohaterami przygód. Muzykę do tego przedstawienia skomponował Witold Lutosławski.

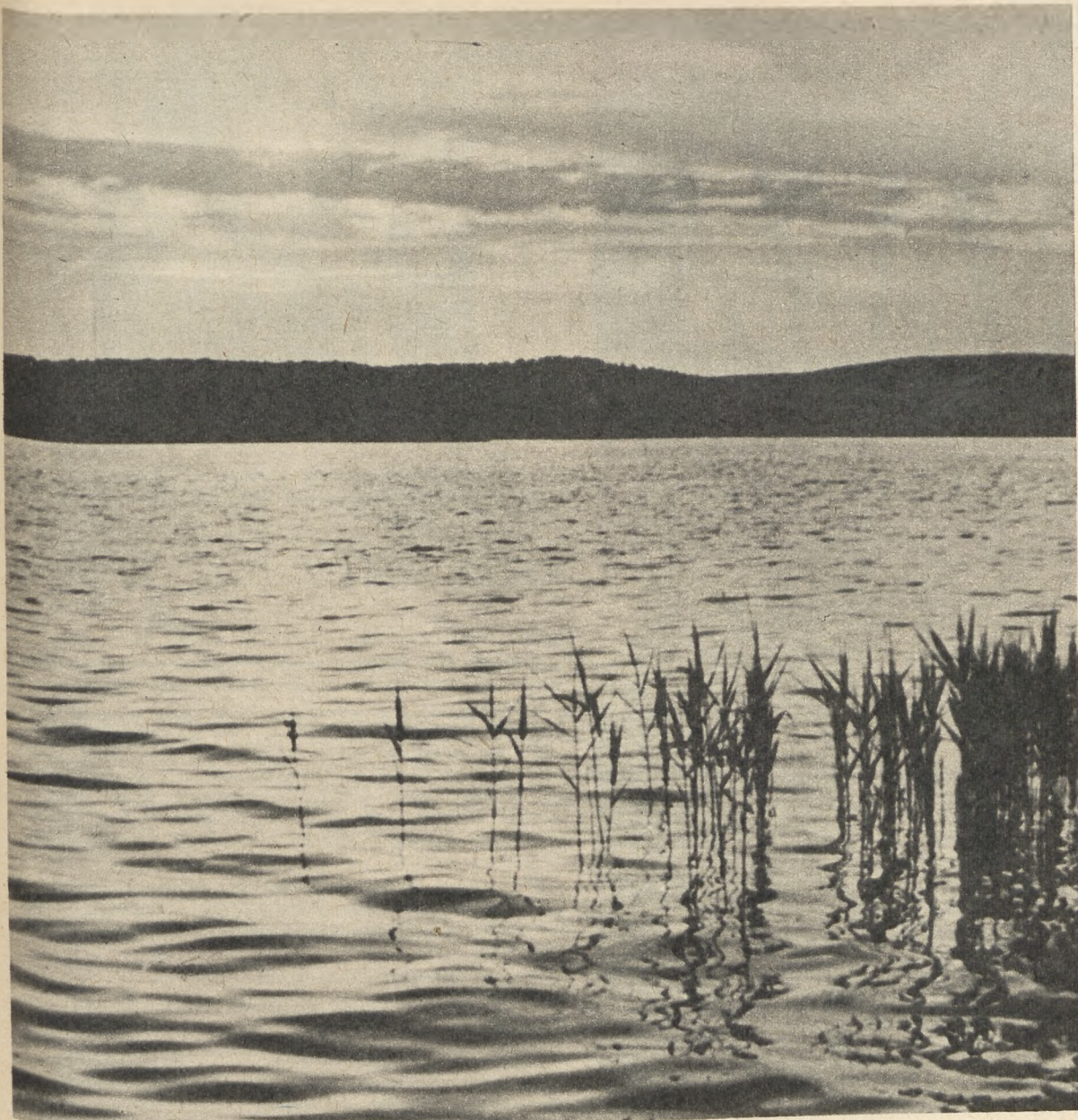
Udany widowiskiem była też sztuka Marii Węgrzyn i Janiny Rychwickiej „Dary wiatru północnego”, napisana według powieści Wacława Sieroszewskiego. Obecnie na 10-lecie Polski Ludowej teatr przygotowuje sztukę Gustawa Morcinka „Konczeria z pokładu Idy” o tematyce górniczej.

Poza działalnością artystyczną „Banaluka” prowadzi studio szkoleniowe. Kształcą się tam aktorzy lałkowi równocześnie udzielając porad amatorskim zespołom kukielkowym.

Teatr kukielkowy ma nie lada rolę do odegrania w upowszechnieniu kultury na wsi. Na wsi polskiej kukielki mają bardzo starą tradycję ludową, chętnie są tam też oglądane zarówno przez dzieci, jak i przez dorosłych. Łatwo jest też dotrzeć z nimi do odległych miejscowości nie mających specjalnych urządzeń dla teatru „normalnego”.

„Banaluka” w tym roku przewiduje 200 przedstawień na wsi. Nowy, własny gmach w Bielsku-Białej przyczyni się do usprawnienia pracy teatru, który do tej pory tułał się po różnych salach, nie przystosowanych zresztą do potrzeb teatru lałkowego. Gmach ten będzie posiadał nowoczesne urządzenia techniczne sceny i widowni oraz odpowiednie zaplecze dla pracy aktorów. (g)





LETNIA PRZYGODA

OPOWIADANIE TURYSTYCZNE

WYOBRAZANIA, to cenny dar natury, tym cenniejszy, że choć nie zawsze służy nam kiedy trzeba, to jednak najńedźniejsze życie czyni barwnym i bogatym. Od lat posługuje się wyobraźnią w różnych okolicznościach, ale dopiero niedawno przekonałem się, jak bezcennie oddaje usługi w... turystyce.

Zwinęliśmy namiot i korzystając z lekkiej morki płynęliśmy skrajem Śniardw ku wschodzącemu słońcu. Powierzchnia wody miała połysk rybniej łuski, powietrze było stężałe od wilgoci, a słońce wydobywało z ciała istne strugi potu. Zagłębiliśmy się raz i drugi i zwiśł bezzilnie na maszcie. Trzeba się było wziąć do wiosel.

— Będzie burza — rzekła Zośka tonem korsarza z fregaty Drake'a.

Przeczekamy na Suchym Rogu — postanowiem, mając na myśli cypel na północnym brzegu Śniardw. Do Suchego Rogu było kilka godzin wioślowania. Ale nie upłynęło dwadzieścia minut, a błękit i słońce zniknęły za szarą opończą, powiał wiatr i potężnie zagrzmięło. Luną gwałtownie deszcz. W pobliżu trzasnął piorun. Dobiliśmy szczęśliwie do brzegu i zaszyci w trzcinie przeczekaliśmy nawałnicę pod plandeką. Po godzinie wszystko się uspokoiło, chmury zniknęły, wyjrzało słońce, rozpiewały się ptaki. Z brzegu doszło nas porykiwanie krowy.

— Ooo, krowa! Tak bym się napiła mleka... — tym razem Zośka była uosobieniem kobiecości.

Wspomniałem coś o herbacie w terminie, ale wygrzebałem się z kajaka i postawiłem nogę na brzegu. Przybiliśmy do bagienka.

— Przejdź po wiośle, tam już jest sucho — poradziła mi małżonka.

Przeszedłem, wziąłem ze sobą wio-
sło, litrową butelkę i chlebak („na
wszelki wypadek, mój drogi ...Moż-
esz kupić jajek lub tego pysznego razow-
ca, wiesz...“).

Umożliwił mi się, że Zośka odbije o bagienka i będzie czekać w bardziej dogodnym miejscu. Widziałem, jak wstawała w kierunku Suchego Rogu, wypatrując gdzieby przybić. Kupiłem 10 jajek i 2 kg „tego pysznego razowca”. Dostałem i mleko, ale nie o tej krowy, co tak rzycała, bo to była cierna, lecz od innej, której właścicielka odnalazłem o 4 km dalej. Po dwóch godzinach (musiąłem czekać na udoj) wróciłem do jeziora. Odnalazłem bagienko i ostrym marszem ru-

szylem w kierunku Suchego Rogu. Spodziewałem się lada chwila ujrzeć Zośkę i kajak.

Początkowo trzcina wąskim pasmem zalegała brzeg i mogłem ogarnąć wzrokiem jezioro, ale po kilkuset metrach pas trzcin, zarośli, mokradeł odgrodził mnie od jeziora. Wołałem: „Zoska!” — nikt nie odpowiadał.

Był upał. Tysiące maleńkich muszek towarzyszyło im jak pszczoły niedźwiedziowi uciekającemu od barci. Usiłowały wejść do nosa, do oczu, przyklejały się do zlanego potem ciała jak do lepu. Szedłem na granicy lasu i trzcini, co chwila utykając w gęstym posyściu. Bose stopy utrudniały marsz. Pulsy w skroniach biły przyspieszonym rytmem.

Uplywały godziny. Szedłem nieczu-

ly już na zmęczenie, coraz bardziej pochłonięty filmem mej wyobraźni...
Nadciągają chmury, jezioro burzy się,
fala zalewa kajaki... Zośka ledwo zdolała się uratować, błąska się po pustynnym wybrzeżu... Czują ją na nią wylki... A ja leżę w tych oto krzakach ukąszonej przez żmiję i nie mogę przysiąc jej z pomocą. Coż za dziki kraj te Mazury!...

I byłbym tak długo bytował w tym świecie majaków, gdyby nie to, że zostałem nagle zatrzymany.

Ugrzęzłem w takiej gęstwinie, że ani w lewo, ani w prawo. Postanawiam więc przetrzeć się do jeziora. Od gradza mnie od niego las trzciny rosł.

gradza mnie od niego ias-
nących niezwykle gęsto, twardych
wyschniętych, wysokich na 4 metry
Przebijam się jak młody Murzyn prze-
dzinę. Każdy krok przygotowuje
wzruszaniem trzciny wiosłem. Praco-

wyrabianem trzciny wiosem. Złoci-
wałem wśród znoju i mchu, którym
przysłwily w sukurs baki. Nagle natra-
fiłem na wydeptaną w kierunku je-
ziora ścieżkę. Wyobraźnia podsunęła
mi obraz zasadzki, wlec posuwalem
się ostrożnie, systemem Winnethou-
waski korytarczyk rozszerzył się na

Wąski korwartzkłyk rozszereżył się na
gle w maleńką polankę. Wydawało
mi się, że widzę na stratowanej trzcinie
nie wyschnięte strzepy skory dzika
oczyszczone przez mrówki kości
szczęki i czaszki. Lekki powiew wia-
tru unosił w górę kłaki. Ciszę mąci-
szum trzcin... Cmentarzysko dziko-
A nuż który wychynie z gęstwiny.

Ruszyłem dalej. Coraz sprawnie
pracowałem moim wiosłem. Co pe-
wien czas przystawałem, by posila-
ć się mlekiem i „pyszny razowcem”

W czasie jednej z przerw w żmudnym pochodzie usłyszałem plusk fali, omijającej brzegi. Jezioro było tuż, tuż. Jakóż poczułem pod stopami wilgoć, po paru krokach zacząłem się zapadać po kostki i wyżej. Grzęzawisko! Mój głód przygód był już zaspokożony z nadwyżką. Zmienilem system pracy. Układałem z trzciny pomost na bagnie. Niewiele pomagało, ale zawsze...

Sze...
Nagle las suchych trzciny urywa się
jak nożem uciął i oto stanąłem w
chłodnej wodzie jeziora. Dno twarde,
choć nieprzełyknie osłizłe. Nad nim
kim, zielonym tatarakiem ujrzałem
spokojną: powierzchnię Śnardw. Pły-
cina ciągnęła się szerokim pasem
wzdłuż brzegu. Chcąc zapewnić sobie
jak najlepszą widoczność, zapuszczam
się 50 metrów w głąb jeziora i ruszam
znow w kierunku Suchego Rogu.

Woda sięgała mi za kolana, wobec tego zdajęm spodnie i tak kroczylem, trzymając w górze wiośło, butelkę i chlebak z 10 jajkami i już tylko z półtora kilograma „pysznego razowca”. Woda jest przeźroczysta, wokół pływają małe rybki, ale wyobraźnia częściej mnie duży rekinem, a nawet żółtym rakiem...

Orjentuję się według słońca, że jest to szóstka lub siódma godzina mojej wędrówki i przgryd. Staś Tarkowski i Nel Rawlinson też mieli przgrydy. Co mnie jeszcze czeka? Czy długo wytrzymam w tej zimnej wodzie? A jak się grunt obniży niespodziewanie! Czego jeszcze dokonam?... I nie było przgryda i czynów, których by wyobraźnia nie rozciągała przede mną.

...Zoske i kakaj odnalazłem w ma-
lowiejszej zatoczce. Łowiła ryby i opa-
łała się. Na mleko już nie ma chęci,
bo herbata okazała się wyborna. Czy
miałem przylemyć spacer? Prawda,
jakie to piękny są uroczyska?

jakie te Mazury są urocze?
Zaciąłem zęby i postanowiłem an-
słowem nie wspomnieć jej o mych
przygodach. I tych prawdziwych
(dziwnie mi teraz zbladły) i tych uro-
jonych.

Wlazłem do kajaka i czym prędzej ubrałem się w wełniany dres. Byłem nieco zsznialy. Słońce chyliło się ku zachodowi.

— Tylko się już nie gniewaj... Przenocujemy na Suchym Ręgu — powiedział Zoska i pogłaskała mnie po ramieniu.

rośniętym policzku.

Było to dotknięcie rzeczywistości.
Przenocowaliśmy na Suchym Rogu

JERZY SUSZKO

JAKKOLWIEK jesteśmy „zapaleńcami”, przyznajmy się, przyjaciele, że najłatwiej nam z tym sportem idzie, kiedy jest na co porządzić. Myślimy nabierają wówczas ostrości, stają się nieubłagane logiczne, a słowa nasze zaprawia gniew, gorzcy, żal — i nutka niepoprawnego marzycielstwa (że niby powinno być inaczej). Ale cóż, kiedy wcale nam się nie chce teraz rzędzić. Przeciwnie, stajemy się znów niepoprawnymi zapaleńcami i w głowach naszych musi przebiegać chaos.

Wszystko idzie jak najlepiej, przyjaciele! Dobrze jest! Czyż nie ucieszyli nas wszystkich pływacy? Czego się po nich spodziewano? Przyznajmy, że niewiele! Powszechnie liczone na to, że nawała, że będą nie w formie, że zrobią fałstarty, że angina, że paluszek, że nerwy, że pech... Zmaganiom ich nie towarzyszyła ani czwarta część tej gorączki, jaką przeżywalismy z okazji mistrzostw lekkoatletycznych w Bernie. A jak wypadł występ pływaków w Turynie, mieście „Fiata“ i najbardziej rewolucyjnego proletariatu włoskiego? Doskonale! To znaczy — lepiej, w chwili obecnej, wypadł nie mógł. Zajęli siódme miejsce, wyprzedzając Danię, Szwecję, Jugosławię i Włochy, a więc kraje o pięknych tradycjach pływackich. Jak w Bernie Sidor, tak w Turynie Petruszewicz udowodnił, że jego rekordowe wyniki nie były przypadkiem. Marek zajął drugie miejsce na 200 m st. klas. (a jest rekordzistą świata na setkę), prowadząc przez 150 metrów. Okazało się więc, że jednak jest najszybszym „żabkarzem“, brak mu natomiast dostatecznej wytrzymałości, by triumfować niepodzielnie na dystansie 200 metrów. Najbardziej „tradycyjnych“ swoich przeciwników Polak zostawił w pokonanym polu: Gleie, Minaszkina i Utassy'ego, z którym dawniej na tymże dystansie przegrywał. A więc — bravo!

Wielkie pochwały należą się Gotfrydowi Gremłowskiemu. Na najsilniej obsadzonym dystansie 400 m st. dow. Gremłowski odniósł swój życiowy sukces, zajmując czwarte miejsce i zwyciężając takich asów, jak Francuz Boiteux i Węgier Nyeki.

Wszyscy zawodnicy, nawet ci, którzy „zawiedli“, wykazali życiową formę. I to świadczy dobrze o pracy naszych trenerów pływackich. Bo też — w stosunku do trenerów lekkoatletycznych — o ileż mieli łatwiejsze zadanie! Czołówka pływacka jest już (niestety) dość mocno skryształizowana. Ani od Petrusewicz, ani od Gremłowskiego nikt nie żąda rekordowej formy przed Turynem i mogli spokojnie przygotowywać ją na Turyn. Z lekkoatletami sprawa miała się akurat na odwrót. Kto chciał zdobyć paszport do Berna, musiał się wykazać przedtem wysoką formą. Małoż to brakowało, by Iwański został w domu? Nie wystarczył nam jego świetny wynik uzyskany na Spartakiadzie. Zorganizowano im jeszcze eliminacje. No szczęście, Iwański w eliminacjach nie „spalił“, nie odbił się przed deską, nie skakał nerwowo, osiągnął 73 i wyjechał do Berna — po srebrny medal dla Polski

Nie znaczy to, że uważam, iż eliminacje nie są potrzebne. Trener Morończyk ma rację kiedy mówi, że hartują one zawodnika, przyzwyczajając go do walki o ostateczną stawkę. W przypadku Iwńskiego, na przykład, rezultat był jak najlepszy. Chodzi tylko o to, że kierownictwo grzeszy w stosunku do zawodników tym, czym wydawcy w stosunku do autorów: brakiem zaufania.

W chwili obecnej kadra lekkoatletyczna też się już mniej więcej ustaliła: dojdą chyba do niej nowe nazwiska, prawdopodobnie tych rewelacyjnych juniorów, którzy tak nas ucieszyli swymi poznańskimi wynikami — ale ubycy nie powinni z niej nika! Otóż możemy sobie pozwolić na pewien kredyt w stosunku do zawodników i trenerów. Powiedzieć np. takiemu Grąjowi: trenuj tak, by szczyt twojej formy w r. 1951 wypadł na Igrzyska Przyjaźni podczas Festiwalu w Warszawie. I nie żądać od niego szczególnych cudów w terminie wcześniejszym.

Czy byłoby to sprzeczne z ogólnym i nader słusznym żądaniem, by zawodnik miał okazję często startować w poważnej konkurencji? Sądze, że nie! Startować powinien, ale nie tracąc sprzed oczu głównego celu: najważniejszych igrzysk w danym roku. Z drugiej strony, ilość startów długodystansowca w ciągu sezonu i tak nie jest nieograniczona. Doświadczenie zaś naszych trenerów jest już tak duże, że potrafia na pewno ułożyć kalendarzyk zajęć zawodnika tak by start był koniecznym elementem treningu.

A co jeszcze? A to, że największą sztuką jest umie-
trzymać się przy szczytowej formie możliwie długo.
Tego byśmy sobie wszyscy najbardziej życzyli!

PIERŚCIEN

(6)

KARDYNAŁA

Napisał: MARIAN PODKOWIŃSKI



Nedoszlý kanclerz Kapp po porażce
salwował się ucieczką do Szwecji.

D

ORTEN i jego emisariusze ruszyli w drogę. Ale — jak przyznaje sam we wspomnieniach — sprawa ta była trudniejsza, aniżeli wydawało się to z okien kolońskiego ratusza. Kiedy przed wyjazdem z Kolonii Dorten złożył pożegnalną wizytę Adenauerowi, zastał go w złym usposobieniu. Dorten odkrył przyczynę tego złego humoru: oto w kolońskim parku urządzono grób, nad którym czyjeś ręce umieściły ozdobną tablicę:

„Tu spoczywa Konrad Adenauer, pierwszy prezydent republiki reńskiej“.

Mimo złego humoru otrzymał jednak Dorten od Adenauera tytułem „wydatków propagandowych“ czek na 5 tysięcy marek z kasy magistratu Kolonii!

Już w tydzień później Dorten daje znać o sobie. Świadczy o tym list rozesłany przez Adenauera do burmistrzów i przewodniczących „Centrum“ w rozmaitych gminach i miastach Nadrenii. W liście tym Adenauer komunikuje, że dr Dorten zbiera podpisy pod uchwaloną w Kolonii rezolucją. I że akcja trwa dalej.

Jak takie „adresy“ zbierane przez Dortena wyglądały, możemy wnioskować na podstawie jednego, który dotarł do naszych rąk. Oto jego treść:

„Do przewodniczącego reńskiego komitetu dla utworzenia zachodnio - niemieckiej republiki. Pana Nadburmistrza Adenauera, w Kolonii.

Panie Nadburmistrzu!
Dalsze zwleknięcie z utworzeniem zachodnio - niemieckiej republiki jest sprzeczne z interesami kraju Nassau i Hesji Reńskiej.

Jesteśmy zmuszeni do działania.
Dlatego oczekujemy do 4 marca 1919 niedwuznacznego oświadczenia Reńskiego Komitetu.

W przeciwnym wypadku sami podejmiemy akcję.
Wiesbaden — Moguncja, 27 lutego 1919.

Komitet Akcji:

Ławnik prof. dr Bauer, nauczyciel Broglie, dr med. Berberich, prokurator dr Dorten, adwokat radca prawny Eckermann, adwokat radca prawny dr Fuld, naczelny redaktor dr Geueke, hotelarz Heinrich, historyk sztuki dr Klingelschmitt, nauczyciel gimnazjalny Kraemer, tajny radca prof. dr Leppla, właściciel kopalni von Marees, dyrektor gimnazjum dr Preising, dyrektor Radermacher, asesor naukowy dr Reichwein, radca sądowy Schmitz, dr med. Schlipp“.

4 marca 1919 Dorten przybywa do Kolonii i spotyka się ponownie z Adenauerem. Oświadcza mu, iż wszystko jest przygotowane do ogłoszenia republiki zachodnich Niemiec. Pokazuje mu nawet depeszę, jaką prałat Kaas nadesłał na zebranie „przyjaciół reńskiej republiki“, które odbyło się w kasynie miasta Kolonii: „Serdeczne pozdrowienia Republiki Nadreńskiej przesyłają znad brzegów Mozeli obywatele Trewiru wszystkim stanów“.

Ale Adenauer wie już daleko więcej o sytuacji międzynarodowej aniżeli prowincusz Dorten. W Paryżu trwa w dalszym ciągu cicha wojna między Francją a W. Brytanią. Ta ostatnia niechętnym okiem — patrzy na francuskie flirtowanie nad Renem. Komisarze brytyjscy w Kolonii, którym podlega Adenauer, ślą raporty za raportami do Lloyd George'a, ostrzegając go przed francuską grą. Miary dopełnia tajny raport rezydenta brytyjskiego w Koblencji, generała Liggetta, alarmującego zwierzchników listem, jaki otrzymał od generała Mangina, który zainteresowany był pytaniem, „na ile Anglicy zachowują ostrożność w wypadku utworzenia separatystycznej republiki reńskiej?“. Zamiast odpowiedzi Liggett wysłał raport do Londynu, którego odpis, doręczony Wilsonowi, podburzył prezydenta USA przeciwko „zbyt chciwej Francji“.



Niemiecki minister spraw zagranicznych Walter Rathenau padł w 1922 roku ofiarą skrytobójczej kuli. Zamachu dokonała organizacja „Consul“, której członkowie przeszli później do Hitlera. Adenauer należał do zacieklej przeciwników ministra.

Wiosna roku 1919 jest z jednej strony pełną aktywności separatystów w Nadrenii, z drugiej zaś — walki cenzury francuskiej z „gadatliwością“ prasy paryskiej. W czasie, kiedy Dorten przygotowywał się do proklamacji republiki reńskiej i zbierał w rozmaitych miastach zwolenników, rozdając im pieniądze i broń dostarczoną przez Francuzów, ufny zresztą w obiecaną pomoc wojskową Mangina, w Paryżu Clemenceau usiłował zacierać wszelkie ślady kontaktów z separatystami. Obraz tego, co się działo wtedy na Quai d'Orsay, oddaje chyba najlepiej książka urzędników cenzury paryskiej, Marcela Bergera i Paula Allarda, pt. „Za kulisami traktatu wersalskiego“ (Scherl-Verlag w Berlinie). Cenzurę trzymał wtedy w swoich rękach zausznik „starego tygrysa“, minister Mandel.

8 maja 1919 Mandel wydaje rozkaz cenzury: „Ani słowa o przybyciu marszałka Focha do Moguncji“.

W rozmowie z urzędnikiem wojskowej cenzury, niejakim Pievet, autorzy dowiadują się o kulisach tego zakazu: od sześciu miesięcy Mangin, człowiek Focha, usiłuje wywołać ruchy separatystyczne w Moguncji. Mangin popiera Dortena, razem opracowali „wielki plan“... Dlatego należy „milczeć, aby nie zaalarmować opinii publicznej Ameryki“ (chodzi tu o amerykańskich Niemców).

Po podróży Focha — piszą dalej Berger i Allard — już 17 maja „delegacja z Akwizgranu o prowincji Nassau przekazuje generałowi Manginowi życzenia reńskiej ludności“.

Mangin angażuje się otwarcie.

21 i 22 maja Mandel daje nowe wskazówki cenzurze paryskiej:

„Zezwala się na omawianie planu niezależnej republiki reńskiej. Należy przepuścić sprawozdania o separatystycznych skłonnościach ludności. Wiadomości o ruchu Dortena potraktować przychylnie. Uwaga: nie dopuścić pod żadnym pozorem do jakichkolwiek aluzji, że naczelne dowództwo francuskie ma cokolwiek z tym wspólnego...“

1 czerwca 1919 Poincaré przekazuje Clemenceau tekst depeszy, jaką właśnie otrzymał od generała Mangina z Moguncji:

„Delegacja nowego rządu ma zaszczyt prosić o posłuchanie w Paryżu celem wyjaśnienia sytuacji i przekazania życzeń dwunastu milionów nadreńczyków“.

Tego dnia Dorten, nie czekając na zgodę Adenauera, proklamował Republikę Reńską w Moguncji, Wiesbaden, w Spirze i w innych miastach Hesji Nassauskiej, na całym odcinku południowym, który mu w myśl umowy z nadburmistrzem Kolonii podlegał. Adenauer natomiast, który wiedział o nastrojach brytyjskich, jako że Kolonia i północna Nadrenia były pod okupacją Anglii,

Monsieur Andre Francois Poncet, wysoki komisarz Francji w Bonn, ma za sobą długą karierę dyplomatyczną w państwach faszystowskich. W młodości był



W 1923 roku Hitler podjął nową próbę zamachu stanu w Monachium. Ale i ta rewolta została stłumiona rękami bawarskich robotników. Przyszły organizator masowych mordów, H. Himmler, stoi ze sztandarem hitlerowskim w ręku, w otoczeniu SS-manów.

nie przyłączył się do puczu. Wiedział bowiem również, co o tym sądzi ludność. Jak powiada niemiecki historyk Albert Norden, czynnikiem, wywierającym na ówczesny bieg wypadków jeszcze większy wpływ aniżeli opozycja anglo-amerykańska, był w danym wypadku wrogi stosunek samej ludności Nadrenii do separatystów. Zorganizowane masy robotnicze Niemiec zachodnich stanowią niezwykłą przeszkodę na drodze zamierzonych przez klikę Dorten - Adenauera prób oderwania kraju nadreńskiego. 27 maja, kiedy plany bliskiego zamachu były już głośne, wybuchł w Kolonii strajk generalny, który sparaliżował całe życie gospodarcze, zachwiał pozycją separatystów i sprawił, że w 96 godzin później Adenauer i jego klika musieli ukrywać w tajemnicy swoje przedsięwzięcie. Z końcem maja w Spirze i w Landau pięści robotników - marksistów, przybyłych głównie z Ludwigshafen, udaremniły próbę proklamowania tzw. „Wolnej Republiki Palatynatu”.

Dlatego Adenauer nie pośpieszył się z proklamacją zachodnio - niemieckiej republiki w Kolonii i innych miastach brytyjskiej okupacji.

Ale i republika Dortena nie przeżyła dwóch dni. Robotnicy zmusili spiskowców do niesławnej ucieczki. Wojska generała Mangina pomogły mu wprawdzie w samym zamachu, ale dalej iść nie mogły wobec obradującej w Wersalu konferencji pokojowej z Niemcami.

31 maja cenzura paryska otrzymała nową instrukcję od Mandela:

„Te gazety, które twierdzą, iż generał Mangin stoi za kulisami republiki reńskiej, należy pouczyć, że ich informacje nie odpowiadają prawdzie”.

2 czerwca cenzura paryska szaleje. „Journal” zostaje skonfiskowany za tytuł: „Nasze wojska umożliwiły powstanie reńskiej republiki”. Dziennikowi „Humanite” grozi się poważnymi represjami, jeśli odważy się zamieścić artykuł pt. „Komedia reńska”. Wywiad prasy amerykańskiej z Fochem po jego powrocie z podróży po Nadrenii zostaje skonfiskowany w prasie francuskiej 17 czerwca 1919. Sam Clemenceau tuszuje skandal i usiłuje udbruchać rozżalowanego marszałka.

Finał pierwszego ataku „tragedii reńskiej” dobiega końca. Aktorzy szykują się do następnej sceny...

8.

W LATACH 1920—1923 ruchy separatystyczne w Nadrenii wzrastały lub malały proporcjonalnie do postępów kontrrewolucji w Berlinie. Kiedy reakcja niemiecka podnosiła głowę, separatysty nabierali wody do ust. Kiedy robotnicy wychodzili na ulicę, przedstawiciele „narodu reńskiego” domagali się raptem prawa do stanowienia o sobie. Dla kliki kolońskiej Hagena i Adenauera „czerwony Berlin” był bowiem widmem utraty majątków, wpływów, rządów.

W roku 1920 kontrrewolucja rozpoczęła swój krwawy marsz. Po bestialskim zamordowaniu Karola Liebknechta i Róży Luksemburg, soldateska pruska hula po Niemczech. Powstają „wolne korpusy” (Freikorps), rozmaite Soldatenbundy i „Stahlhelm”. Obok wojsk rządowych, którymi dysponuje w walce z rewolucyjnymi robotnikami zdrajca Gustaw Noske, patron pruskiego militarysty, „Czarna Reihswhehra” — nielegalne oddziały wojskowe — terroryzuje miasta i wsie niemieckie.

Dalszy ciąg nastąpi

doradcą separatystów nadreńskich w Duesseldorfie, następnie był ambasadorem przy rządzie Hitlera i Mussoliniego. Dziś rezyduje przy dworze Adenauera.



SWIAT

o tym wie!

„CZŁOWIEK BEZ OBLICZA”

„Człowiekiem bez oblicza” nazywa prasa zachodnia osławionego generała Gehlena, szefa wywiadu w Niemczech zachodnich, specjalistę od „brudnej” i „mokrej roboty”, szpiegostwa, dywersji i sabotażu. „Generał Gehlen nie



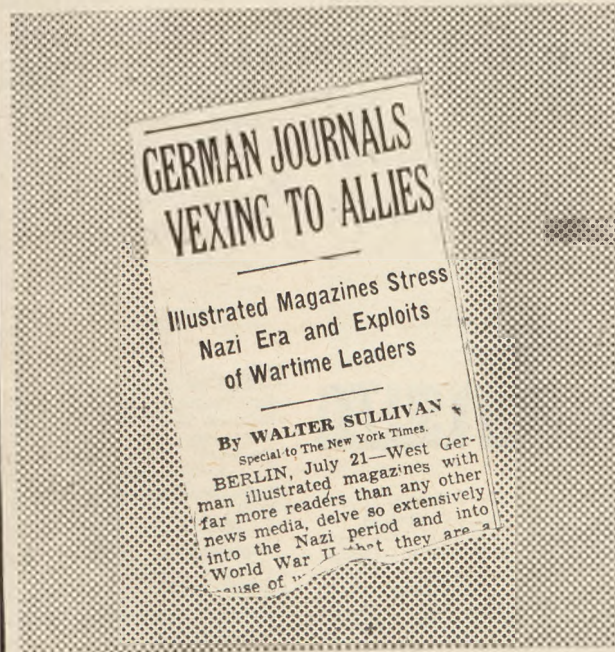
daje się fotografować” — informował ostatnio szwajcarski tygodnik „Die Weltwoche”. Ale raz generał Gehlen uległ pokusie uwiecznienia się na kliszy i oto powstało zdjęcie, zrobione wiosną 1943 roku. Gen. Gehlen otoczony jest gronem swych najbliższych współpracowników z „Abteilung Fremde Heere Ost” w sztabie generalnym armii hitlerowskiej podczas kampanii antyradzieckiej. Zdjęcie zrobione zostało w kwaterze Oberkommando des Heeres w Prusach Wschodnich.

Gen. Gehlen siedzi w samym środku pierwszego rzędu oficerów. Dwaj oficerowie o twarzach zasłoniętych pracują nadal w sztabie Gehlena, znajdują się obecnie „na robocie” i dlatego oblicza ich zostały zakryte.



TUCZYLI BESTIĘ...

Dziennik „New York Times” z 2 sierpnia 1954 roku dokonał nagle odkrycia, które — prawdę mówiąc — nie jest żadnym odkryciem: stwierdził mianowicie, że prasa zachodnio-niemiecka uprawia kult hitlerysty i zbrodni wojennych. Cytujemy fragmenty korespondencji Waltera Sullivana z Berlina:



„Zachodnio-niemieckie tygodniki ilustrowane, liczące więcej czytelników niż inne pisma, zajmują się tak intensywnie okresem hitlerowskim i drugą wojną światową, że budzić to zaczyna niepokój w kołach alianckich.

Specjaliści alianccy obliczają, że od pewnego czasu tygodniki te umieszczają więcej portretów Hitlera, Goeringa i Goebbelsa aniżeli w okresie rządów hitlerowskich. Artykuły ogłaszane gloryfikują wyczyny komendantów niemieckich łodzi podwodnych, asów lotniczych i dowódców Wehrmachtu.

Oskarża się aliantów o brutalne traktowanie zbrodniarzy wojennych. A ośmiesza jednocześnie procesy przeciwko zbrodniarzom wojennym, przy czym śladom pomawiany jest o takie same okrucieństwa.

Głównym celem ataków tej prasy jest Francja. Zabawny jest ten niepokój w kołach alianckich, nieprawdaż? Najpierw tuczili bestię, a teraz się dziwią, że wyrosła.

ADENAUER BEZCZELNY

Karykatura londyńskiego „Daily Express”, która obiegła liczne dzienniki zachodnie:



Adenauer dyktuje list do rządów Zachodu: „Goto- wi jesteście, zaakceptować wasz program remilitaryzacji Niemiec pod warunkiem, że sprzedamy wam broń, przy pomocy której wy nas uzbroicie...”

Warto zaznaczyć, że „Daily Express” jest pismem bardzo prawicowym, ale jego wydawca, lord Beaverbrook, wyczuwając nastroje opinii brytyjskiej, podjął kampanię przeciwko remilitaryzacji Niemiec zachodnich. „Daily Express” wystąpił również w obronie lorda Russel of Liverpool, autora antyhitlerowskiej książki pt. „Bicz swastyki” (ob. „Świat” nr 35).

SENSACJA ZA WSZELKĄ CENĘ...

...oto hasło, które Amerykanie usiłują zaszczerpić w krajach Europy Zachodniej. Oto kilka charakterystycznych obrazków świadczących o realizacji tego hasła. Trucizna działa.



Jednym z najświeższych zwyczajów w zakresie amerykańskiej mody jest malowanie kobiecych ust stosownie do pasków sukni. Jest to niezwykle oryginalne, gdyż — jak wiadać na zdjęciu — usta kobiety stają się podobne czasami do grzbietu... zebry.

Anglia. W pewnym lon-

dyńskim „Variete” cieszy się powodzeniem numer, w którym mąż rzuca nożami i oszczepami, celując w głowę własnej żony. Na koniec pomiędzy utkwione w ścianie noże wprowadza się przerażone dziecko — wszystko razem dostarcza dreszczyku emocji starszym dżentelmenom.



Francja. W Juan les Pins, modnej wśród bogaczy miejscowości, popularna jest taka zabawa: na podium stawia się prawie nagą girlse — następnie zaś podgazyowani panowie starają się którąś z jej nielicznych części garderoby złapać na wędkę. Komuś to się wreszcie udaje i...

Ale sensacja — co?

CO SPOSTRZĘGŁA SYRENKA



Syrenka chętnie zabierze głos — poza konkursem.

Nie w sprawie książeczek oszczędnościowych jednak. Kilkanaście tysięcy listów, jakie na ten temat otrzymało Polskie Radio, to chyba najzupełniej wystarczy. Powiem natomiast co myślą ludzie o innej bardzo poważnej galei usług PKO, a mianowicie o rachunkach czekowych.

Kochana PKO! Dam ci nie tylko zegarek, rower, kupon na sukienkę i najpiękniejsze wyroby artystyczne, ale nawet przysłowiowego konia z rzędem, jeżeli potrafisz znaleźć w Warszawie takiego personalnika, który dawałby zwolnienia z pracy po to, by ludzie mogli biegać do twych oddziałów i realizować swoje czekki. Niestety! Tak to niezręcznie urządziłaś, że wypłaty czekowe odbywają się jedynie między 9.30 a 13.30, w których to godzinach, jak powszechnie wiadomo, wszyscy przyzwolili ludzie znajdują się w pełnym ferworze pracy.

Na domiar złego zmieniłaś wzór blankietu czekowego. Dawniej na czeku można było podać adres odbiorcy i w wypadku, gdy właściciel konta nie mógł

podjąć pieniędzy osobiście, adresował czek na swoje nazwisko, wrzucał go o jakiegokolwiek porze do skrzyneczki, po czym otrzymywał pieniądze pocztą. W ten sam sposób właściciel konta mógł przesyłać pieniądze innym osobom. Dziś czekki są tylko na okaziciela, do odbioru wyłącznie w kasie PKO, co wybitnie ze względu na niedogodne godziny utrudnia ich realizację.

To jeden żal. Są i inne. Jeszcze nie tak dawno temu znakomicie ułatwiałaś ludziom życie wykonując za nich szereg czynności nudnych i zabierających wiele czasu. A więc co miesiąc płaćśa komornę, regulowałaś opłaty za radio, spłacałaś weksle, słowem, co kto chciał. Istniały bowiem tzw. zlecenia stałe. Właściciel rachunku czekowego mógł zlecić dokonywanie wypłat określonych kwot w powtarzających się, stałych terminach. Można więc było na przykład wyjechać z domu na pięć miesięcy, nie troszcząc się o to, kto zapłaci za mieszkanie, za radio, kto wykupi weksle, kto wysła pieniądze matce, mieszkającej w innym mieście. Wystarczyło dać odpowiednie zlecenie, by spadł z głowy kłopot pamiętania o różnych stałych terminach płatności i znikła zmartowa wystawiania w ogonkach na pocztę.

Twoja usługa sięgała w istocie bardzo daleko. Ktoś, powiedzmy, wyjeżdżał na urlop spodziewając się w tym czasie nadejścia przekazów pieniężnych. Okoliczność wielce niewygodna. Pieniądże odleżały się jakiś czas na pocztę, potem wrócić do nadawcy. I tu okazywałaś się pomocna. Uczestnik obrotu czekowego mógł po prostu zlecić, by wypłaty z przekazów pocztowych zarachowywano na jego konto, z którego w każdej chwili mógł pieniądze podjąć. Nawet nadając

paczkę za pobraniem właściciel rachunku czekowego mógł zarządzić, by kwoty z pobrania były wpłacane bezpośrednio na jego rachunek czekowy.

Czyż muszę zresztą przypominać o tym wszystkim? Sama przecież wiesz najlepiej. Niestety! Te wszystkie, wyżej wymienione a wielce wygodne usługi należą do przeszłości. Syrenka pozwala sobie nieśmiało zapytać: dlaczego?

Dlaczego w okresie, w którym wiele innych instytucji o charakterze usługowym zwiększa lub też stara się zwiększyć zasięg swej działalności, by ułatwić ludziom życie, PKO kurczy tak bogaty i różnorodny dawniej zakres swych usług?



NA NOWE SZCZYT

Dokończenie ze str. 14

Dziś więc taternictwo otrzymało nowe możliwości, nowe formy organizacyjne i nowe władze. Władze te składają się z naszych najbardziej doświadczonych alpinistów. A wiemy, że doświadczenie w alpinizmie zdobywa się poprzez długie lata obcowania z górami.

Szczyty górskie, ich granie i ściany mają swoją historię. W referacie zjazdowym J. A. Szczepański zamknął 150-letnią historię taternictwa — jak kłamrą — wejściem zimowym w bieżącym roku na północno-wschodni filar Mięguszwieckiego.

Jest to jedna z najdłuższych, najpiękniejszych i najtrudniejszych dróg tatrzańskich, atakowana przez 25 ostatnich lat.

Pierwszy atak na filar w roku 1929 (Chwaścinski i Wojsznis) załamuje się wskutek straszliwej burzy. Ale dolna połowa ściany zostaje zdobyta. W sześć

lat później, gdy obaj wyżej wymienieni taternicy nawiązują pierwsze nici przysięgi z alpinistami radzieckimi na Kaukazie — Żuławski wraz z towarzyszem przechodzą powtórnie dolną połowę, a w dwa dni później — po raz pierwszy — górną. Całkowite przejście dokonane zostaje dopiero w roku 1946 (Siedlecki i Łapiński), a od 1949 roku zaczynają się ataki zimowe na tę ścianę. I oto w roku 1954 następuje pierwsze zimowe wejście na filar!

I tak jak pierwsi zdobywcy północnego filara Mięguszwieckiego wyszli kiedyś z Tatr w dalekie góry świata, zdobywając szczyty Ameryki Południowej, Kaukazu, Alp, Atlasu i Szpicbergenu, a dziś podjęli się trudnego i odpowiedzialnego zadania kierowania polskim ruchem alpinistycznym, tak z kolei zdobywcy filara Mięguszwieckiego z roku 1954 i inni ich towarzysze-taternicy powinni zapracować sobie swoją postawą społeczną i taternicką nie tylko na obóz w Tatrach Czechosłowackich, który jest dopiero początkiem, otwierającym ogromne perspektywy, ale i na wyjście w szeroki świat, a przede wszystkim w wielkie góry Związku Radzieckiego i Chin Ludowych.

G. WOJSZNIS-TERLIKOWSKA

— ANEGDOTY —

ŚLAWA I AUTOGRAFY

Znany pisarz niemiecki Gerard Hauptmann, autor dramatu „Tkacz”, był kiedyś oblegany przez zbieraczy autografów. Przy czym jedna zapalona kolekcjonerka zwróciła się do pisarza z prośbą o dwa autografy. Pisarz nie odmówił, a na pytanie, na co jej aż dwa autografy, otrzymał odpowiedź:

— Widzi pan, chodzi o to, że za dwóch Hauptmannów dostanę jednego Lehara.

ŚCISŁA INFORMACJA

Pewnego dnia Kipling przeglądając abonowaną przez siebie gazetę, ku swemu wielkiemu zdziwieniu znalazł w niej wiadomość o swej śmierci.

Kipling wziął sprawę z humorystycznej strony i napisał do naczelnego redaktora: „Pańskie pismo donosi o mojej śmierci. Ponieważ jest ono zwykle dobrze poinformowane, i ta wiadomość jest chyba ścisła. Wobec tego proszę uprzejmie o anulowanie mego abonamentu, który mi na tamtym świecie nie będzie już potrzebny”.

J. K.

loniły się w czasie obrad, nasłuchiwała politykę obozu kapitalistycznego i słusznie wnioskując, iż idea rokowań bierze coraz wyraźniej górę nad metodami nacisku politycznego, tak chętnie stosowanymi przez dyplomatów amerykańskich.

Państwowy Instytut Wydawniczy wydał w roku bieżącym ponad 40 sztuk teatralnych — współczesnych i klasycznych — autorów polskich i obcych. Jeszcze w tym roku zobaczymy pewnie na półkach księgarskich jedno tomy z ilustracjami Szancera, „Domek z kart” Zegadłowicza, z serii pism Lwa Tolstoj — „Dramaty” w przekładzie Pomianowskiego. Będą to: „Żywy trup”, „Piody edukacji” i „Potęga ciemnoty”.

Z zakresu literatury teatrológicznej dostaniemy zbiorową pracę S. Straussa i St. Dąbrowskiego o Wojciechu Bogusławskim. I w tym roku jeszcze ukaże się całość (4 tomy) „Pism K. Stanisławskiego” pod redakcją E. Csaoty. Znajdą się w nich m. in. nast. pozycje: „Moje życie w sztuce”, „Praca aktora nad sobą w twórczym procesie przeżywania”, „Etyka” i in.

Od i do Czytelników

Okres dziesięciolecia naszej niepodległości wszystkim Polakom nasuwa wspomnienia z dalszej i bliższej przeszłości. I te gorzkie z okresu międzywojennego, jak i te z dni radości i wzruszenia po wyzwoleniu kraju. Z myślami o ojczyźnie, jej losach dawnych i przyszłych — łączą się również wspomnienia wielu Polaków, których krzywdzące czasy wyrzuciły poza granice Polski. Oto list Z. Majchrzaka-Rawicza z Montrealu (Kanada):

„W numerze „Świata” z dnia 13 czerwca br. spotkałem swoje nazwisko na liście nagrodzonych za trafne rozwiązanie konkursu p. n. „Co dotrze do naszych rąk”.

Proszę wierzyć mi, że jestem dumny z tego, że otrzymałem nagrodę i że nagrodę tę otrzymałem w rocznicę 10-lecia objęcia rządów w Polsce przez robotnika i chłop. W wymienionym numerze spotkałem poza tym zdjęcie miejsca kaźni, gdzie przeżywałem za czasów smutnej pamięci sanacji i rządów hitlerowskich. Budynek ten przeznaczony jest dziś na Polski Dom Kultury.

Niech ci wszyscy, a zwłaszcza młode pokolenie, wiedzą o tym, że w zamku tym torturowani, zakuci w kajdany komuniści i socjaliści hartowali swoją postawę wobec sanacji z myślą o przyszłej wolnej, sprawiedliwej, robotniczej Polsce, w której młodzież robotniczo-chłopska nie zazna głodu fizycznego, głodu nauki.

Dla nas, starszych wiekiem, droga otwarta była... do więzień i głodu. Wy, młodzież, nie wiecie, jak można nie uczyć się, nie znacie tego. Przepraszam, nie o tym chcę pisać, ale wspomnienia wracają”.

Swego czasu w dziale fotokorespondentów zamieściliśmy zdjęcie pudełka zapalek jako dość — niestety — częstego dowodu brakorobstwa w tej dziedzinie produkcji. Niedawno z Centralnego Zarządu Przemysłu Płyt, Sklejek i Zapalek otrzymaliśmy następujące wyjaśnienie:

„Na skutek całkowitego zmechanizowania produkcji zapalek, a co za tym idzie, utrudnionej kontroli jakości produkcji każdego pudełka i każdej zapalki, ciągle jeszcze napotyka się na te czy inne braki w kupowanych zapalkach. Niezależnie do w/w listu opisywanych zapalek uniemożliwia Centralnemu Zarządowi ustalenie zakładu produkcyjnego, w którym zostały wykonane zareklamowane pudełka. Obecnie na etykietach będzie umieszczana nazwa zakładu produkcyjnego, co umożliwi konsumentowi stwierdzenie, który zakład produkuje dobre czy złe zapalki.

Niezależnie od powyższego C. Z. przekaże uwagi zawarte w liście ob. Kuleszy zakładom celem przeanalizowania i podjęcia odpowiednich kroków”.

Słuszny zarzut robi nam Ob. P. L. z Warszawy, pisząc: „...W tytule — „Żołnierz z karabinem”, w tekście — na przemian to „żołnierz”, to „człowiek”. Zdecydujcie się — przecież szuka Pogodina ma jeden tytuł...”

Istotnie. W numerze 36 naszego pisma z dnia 5 bm. na str. 11 zamieściliśmy rozmowę z Janem Kurnakowiczem na temat przygotowywanej przezeń roli w sztuce Pogodina „Człowiek z karabinem”. Przy przepisywaniu rękopisu popełniono błąd, redakcja uległa jego sugestii i w ten sposób zamiast „Człowieka z karabinem” ukazał się „Żołnierz”. Jest to oczywiście nasz błąd — za który Czytelników przepraszam.

„ŚWIAT”



Wyniki obrad nad sprawą układu o „Europejskiej Wspólnocie Obronnej”

Rys. Karol Barański

LENGREN



NOWE KSIĄZKI

F. Talyzin — PRZEZ IRAN I IRAK — tłum. A. Załęski — Wiedza Powszechna 1954. Str. 178 (wyd. II) Autor tej ciekawej książki, napisanej w formie żywego reportażu — jest doktorem medycyny. Przez dwa lata stał na czele ekspedycji radzieckich lekarzy-epidemiologów, prowadzącej na terenie Iranu i Iraku prace przeciwepidemiczne.

Z tego — napisanego bardzo prosto i bezpośrednio — reportażu dowie się czytelnik wiele nie tylko o przyrodzie, gospodarce, kulturze tych krajów, ale i o obyczajach, życiu i zamyśleniach ich ludności.

M. Hofman — DZIENNIK BERLINSKI — Książka i Wiedza 1954. Str. 132. Jest to dziennik prowadzony przez polskiego korespondenta na konferencji berlińskiej w okresie 25 stycznia — 18 lutego 1954. Dzięki trafnie obranej formie dziennika — prowadzonego dzień po dniu — autor czyni obraz przebiegu konferencji niezwykle przejrzystym dla czytelnika. Precyzyjnie zaznacza sprzeczności, które wy-

PARTIA NR 124

grana podczas meczu ZSRR—Szwecja

Obrona sycylijska

Białe: Nilsson (Szwecja)
Czarne: Geller (ZSRR).

1. e2—c4 c7—c5 2. Sg1—f3
Sb8—c6 3. d2—d4 c5:d4 4. sf3:d4
Sg8—f6 5. Sb1—c3 d7—d6 6.
Gc1—g5.

Jest to tzw. atak Richtera, dzięki któremu białe uniemożliwiają przeciwnikowi przejście zarówno do wariantu drakona (6... g6) jak i do wariantu Bolesławskiego (6. Ge2 e5).

6... e7—e6 7. Sd4:c6 b7:c6 8. e4—e5.

Nilsson wybrał starą kontynuację Richtera, która jednak jest już dziś uważana za niewystarczającą. Dziś najczęściej gra się w tej pozycji 7. Hd2.

8... Hd8—a5.

Teoria uważa, że czarne mogą przyjąć ofiarę piona (8... d:e5) bez przykrych następstw. Arcymistrz Geller obawiał się zapewne jakiegoś „nowinki” i dlatego wybrał spokojniejszą grę.

9. Gf1—b5.

Na posunięcie to analitycy wydali swego czasu „wyrok”, uważając, że prowadzi ono do gorszej pozycji białych. Nilsson musiał o tym wiedzieć. Czyżby więc znał jakieś ulepszenie wariantu?

9... c6:b5 10. e5:f6 b5—b4 11. Sc3—e4 Ha5—e5 12. f2—f3 d6—d5 13. Hd1—d2 h7—h6 14. Gg5—h4.

(patrz diagram).

Identyczna pozycja powstała w partii Treianescu — Szily (Budapeszt 1952). Wspomnianą partię miała dalej następujący przebieg: 14... H:b2 15. 0—0 g5 16. Gf2 z bardzo ostrą grą, w której białe miały lepsze szanse. Geller jednak zagrał inaczej...

14... g7—g5! 15. Gh4—g3 He5:b2 16. Wa1—d1.

Nie można było rozstrzygnąć, bo: 16. 0—0 d:e5 17. Wad1 Gc5+ i 18... 0—0.

16... Gc8—a6 17. Se4—d6+ Gf8:d6 18. Gg3:d6 Wa8—c8

19. Wd1—c1.

Białe muszą zrezygnować z inicjatywy!

19... Wc8—c4 20. 0—0 Ke8—d7

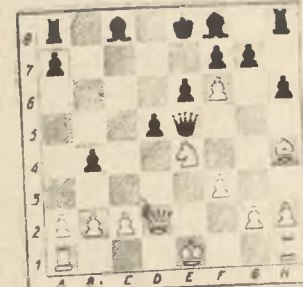
21. Gd6—e7 Wh8—c8 22. Wf1—f2?

Nawet po stosunkowo lep-

szym 22. He3 W8c7 białe nie miały szans ratunku.

22... Wc4:c2! 23. Hd2:c2 Hb2:c1+! i białe poddały się.

Po partii okazało się, że Nilsson wybierając zastosowany w partii wariant opierał się na analizie byłego mistrza świata dr Euwe, który dowodził, że po 12... d6—d5 białe uzyskują przewagę. W analizie tej nie było jednak uwzględnione zastosowanie tu przez Gellera posunięcia 14... g7—g5! Jeszcze jeden przykład, że nie należy przyjmować „na wiarę” analiz najlepszych nawet teoretyków!



Pozycja po 14... Gg5—h4.

NARESZNIE COŚ NOWEGO

Przedłużone ramiona, budkowe kołnierze, podwyższona tala, dekolty „łódeczki”...

Ministerstwo Przemysłu Lekkiego zorganizowało pokaz modeli, które mogą być produkowane na sezon wiosenno-letni w 1955 roku. Fakt, że już teraz myśli się o tym, w czym będziemy chodzili w przyszłym roku, napawa nas nadzieją na poważną zmianę na lepsze w dziedzinie konfekcji gotowej, zwłaszcza, że większość przedstawionych projektów to rzeczy ładne i pomyślane. Ba! Ale pokazanie wzorów to jeszcze nie wszystko... i wcale nie oznacza, że będą one na pewno w sprzedaży. Każdy bowiem model musi być zakwalifikowany przez tzw. komisję selekcyjną no i... musi być zamówiony przez poszczególne jednostki handlowe. W czasie samego pokazu można było usłyszeć takie głosy: „Tęgo komisja nie zatwierdzi”, albo „Tęgo handeł nie będzie chciał wziąć”. Wszystko byłoby dobrze, gdyby chodziło o jakieś modele mało ciekawe, brzydkie, niepraktyczne lub przestarzałe. Nie — w większości wypadków chodziło o modele o nowej, ładnej linii. Czyżby nie brano pod uwagę gustu klientów, którym znudziły się już fasony sprzed pięciu lat? Czyżby chciano zapomnieć, że nieśmiertelną cechą kobiety jest zmienność... w ubiorze?

W. M.



TANIO i ŁADNIE



„MARSYLIANKA” NA SALI OBRAD

Dokończenie ze str. 3

ko „wnioskowi wstępnemu”. Mendes-France odmówił, oświadczając, że jego ministrowie powstrzymają się od głosowania, pozostawiając suwerenną decyzję Zgromadzeniu Narodowemu. Premier wyraził zdziwienie, że ci sami „Europejczycy”, którzy krytykowali go za stanowisko zajęte w Brukseli, okazują mu „zaufanie”, jeśli tylko zechce wznowić rokowania w sprawie EWO, mimo iż Adenauer i jego przyjaciele odrzucili wszystkie propozycje francuskie.

W gruncie rzeczy debata, ograniczona co prawda formalnie do samej tylko procedury, była debatą w sprawie samej istoty „europejskiej wspólnoty obronnej”.

Deputowani „europejczycy”, czując się w całkowitym odosobnieniu, postanowili nagle, 30 sierpnia rano, zgłosić ponownie wniosek o odroczenie dyskusji nad EWO. Wobec tego przeciwnicy EWO wysunęli raz jeszcze „wniosek wstępny”, podpisany przez niezależnego deputowanego z Algeru, generała Aumerana. Na wniosku tym złożył ponadto swój podpis honorowy przewodniczący Zgromadzenia Narodowego, sędziwy Edward Herriot.

W myśl regulaminu Zgromadzenia w sprawie „wniosku wstępnego” może zabierać głos tylko dwóch mówców: jeden z deputowanych popierających wniosek i jeden z przeciwników. Otóż w tym wypadku dla poparcia wniosku przemawiał Herriot. Wystąpienie parlamentarne Herriota, pierwsze od ośmiu lat, wywołało ogromne wrażenie.

„Europejska wspólnota obronna — oświadczył Herriot — to koniec Francji. Pragniemy pokoju osiągniętego w drodze pokojowej, a nie przez uzbrajanie pewnych krajów. Nie chcemy żadnego rozwiązania w drodze zbrojeń czy remilitaryzacji. Chcemy, by znaleziono rozwiązanie dla zjednoczonej Europy, dla całej Europy, a nie dla jakiegś tam „Europy” pięciu czy sześciu...”

Przypominając pierwszy okres zbliżenia ze Związkiem Radzieckim Herriot powiedział, iż cieszy się, że był w roku 1924 inicjatorem nawiązania kontaktów dyplomatycznych z ZSRR. Stwierdził dalej, że dbając o szczęście

ojczyzny wysoko ceni przyjaźń francusko-radziecką i zawarty niegdyś sojusz ze Związkiem Radzieckim. Nie rozumiem — oświadczył mówca — dlaczego nie mielibyśmy szukać współdziałania ze strony tych, którzy pomogli już nam w innych tragicznych okolicznościach.

Po głosowaniu — gdy „wniosek wstępny” o zakończeniu debaty nad EWO jako bezcelowej uchwalono 319 głosami przeciwko 264 — z komunistycznych ław poselskich rozległ się potężny śpiew Marsylianki. Podchwytną go wszyscy patrioci, podczas gdy deputowani MRP opuszczają salę. Mendes-France, stojąc, śpiewa Marsyliankę wraz ze swymi ministrami. W pewnej chwili wracają deputowani MRP i usiłują zakłócić podniosły nastrój, ale ostatecznie milkną, przygnębieni ciężką porażką. Dzień 30 sierpnia mija w parlamencie francuskim pod znakiem wielkiego zwycięstwa sprawy pokoju i niezawisłości narodowej. Setki delegacji pracowników miast i wsi francuskich przybyły do siedziby Zgromadzenia, aby dać wyraz swej radości.

Wiadomość o odrzuceniu EWO dociera błyskawicznie do najdalszych zakątków Francji. Szczerze i gorąco radują się miliony ludzi, którzy od trzech lat walczyli przeciwko groźbie odbudowy odwetowego imperializmu pod maską EWO. W dzielnicach robotniczych Paryża zbierają się tłumy przed afiszami, głoszącymi radosną wiadomość.

Nazajutrz, 31 sierpnia, prasa reakcyjna daje wyraz nienawiści i wściekłości.

Zwolennicy EWO dokonują ostatniego manewru. Nie mogąc już uratować układu o „europejskiej wspólnocie obronnej”, atakują rząd. Wnoszą interpelację, w której domagają się, by premier udzielił wyjaśnień o swej polityce zagranicznej. Pod koniec dnia Mendes-France, który zażądał odroczenia do 3 listopada dyskusji nad interpelacją Pinay, Reynaud i innych przyjaciół Adenauera, uzyskuje jeszcze bar-dziej zdecydowaną większość niż poprzednio — 418 głosów przeciwko 162.

Wieczorem rozeszła się wiadomość, że

Jules Moch i Daniel Mayer, sprawozdawca i przewodniczący komisji spraw zagranicznych, zostali wydalen z SFIO za to, że głosowali przeciwko EWO. Z tych samych powodów wydany został z SFIO dep. Lejeune. Należy jednak podkreślić, że przeciwko EWO głosowało 53 deputowanych socjalistycznych na ogólną liczbę 105.

W praktyce przeciwnicy EWO mają większość w partii socjalistycznej. W tych warunkach Guy Molletowi i jego „ultraeuropejskim” przyjaciołom trudno będzie utrzymać w swym ręku wyłączne kierownictwo tej partii, a na ogólnokrajowym kongresie SFIO w październiku br. uzyskać mogą przewagę rzecznicy zwolania konferencji czterech mocarstw i pokojowego zjednoczenia Niemiec.

Po deklaracji Francuskiej Partii Komunistycznej na rzecz niezwłocznego przyjęcia propozycji radzieckich w sprawie podjęcia rokowań nad zagadnieniem bezpieczeństwa zbiorowego w

Europie, po apelu gen. de Gaulle, który zażądał kontrolowanego zakazu broni atomowej, po wystąpieniu Herriota na rzecz przyjaźni i sojuszu ze Związkiem Radzieckim — francuska opinia publiczna, która odniosła właśnie imponujące zwycięstwo, doprowadzając do odrzucenia EWO, mobilizuje się dziś do walki o pokojowe rozwiązanie problemu niemieckiego. To już nie jest sprawa wyboru tej czy innej formy ponownego uzbrojenia militarystów niemieckich. Tu trzeba wybierać między odrodzeniem odwetowego militarystu a pokojowym rozwiązaniem problemu niemieckiego na zasadzie bezpieczeństwa zbiorowego Europy.

Zwycięstwo pokoju w sprawie Indochin i w sprawie EWO umacnia jeszcze bardziej masy pracujące i całe społeczeństwo w zdecydowanej woli położenia kresu groźbie odwetowców i udaremnienia politycznego dyktatu amerykańskiego we Francji.

FRANCIS CREMIEUX



Śmierć dziękuje Bismarckowi

Daumier

FRANCJA

namięta!

Parlament francuski odrzucił układ o „Europejskiej Wspólnocie Obronnej“. Od r. 1870 Francuzi kilkakrotnie przekonali się jak Niemiec „Europejczy“ rozumie „złiżenie“ do ich ojczyzny. Reprodukujemy rysunki satyryczne wybitnych artystów francuskich, demaskujące prawdziwe oblicze militarystów niemieckich od Bismarcka do Adenauera.



OJCIEC ODSZEDŁ. — Przecież widzisz moje dziecko, że ja nie płaczę...

Forain



Paul Iribe. 1915

DOBRY SYN. Kronprinz: papcio jest smutny. Żeby go rozweselić, rzućcie szybko kilka bomb na kobiety i dzieci.



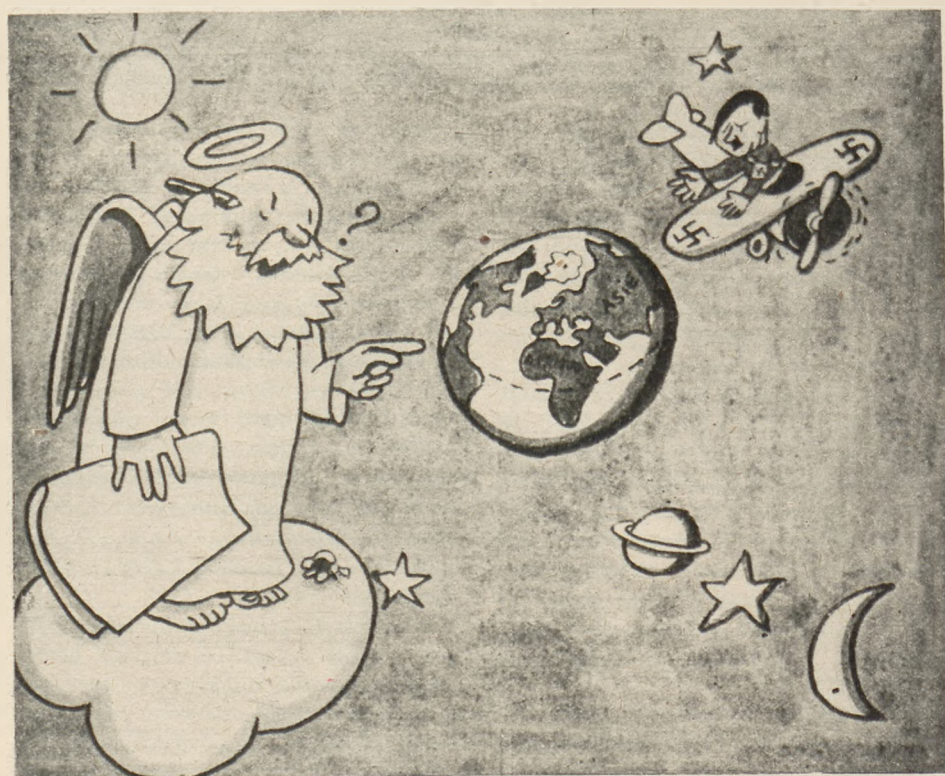
„Le Rempart“. 1903

Człowiek o podwójnej twarzy



Steinlen. 1915

„Wolni strzelcy“



Jean Effel. 1936

ROSZCZENIA TERYTORIALNE. — To wszystko czego pan sobie na dzisiaj życzy. Czy zapakować?...



Muteberg

PRZEMÓWIENIE ADENAUERA. — Ten ton coś mi przypomina...